

PG  
7012  
M55











Wydawnictwo Literackie

# U WIECZNYCH WRÓT TĘSKNICY

## TEGOŻ AUTORA:

O dysharmonjach w naturze ludzkiej.

---

O pełni życia i o komunie duchowej.

---

Próba analizy instynktu metodą obiektywną.

---

Versuch einer Analyse des Instincts. (Jena G. Fischer).

### W druku:

Nad morzem mojem. Księga tęsknoty. (Poezye, w tem *Rybak*).

---

Lucjan, dramat w pięciu aktach z prologiem.

---

Recherches sur la formation des habitudes.  
(Monaco, Institut Océanographique).

### W przygowaniu:

Ideał i życie: dwujednia rzeczywistości.



ROMUALD MINKIEWICZ



# U WIECZNYCH WRÓT TĘSKNICY

I. TCHNIENIE WIECZNOŚCI W POEZJI STANISŁAWA  
WYSPIAŃSKIEGO. □ II. HYMN Y JANA KASPROWICZA  
(O SERCU CZŁOWIECZEM POWIEŚĆ HIOBOWA). □  
III. MĄDROŚĆ I POGODA LEOPOLDA STAFFA. □ □



WARSZAWA

NAKŁAD KASY PRZEZORNOŚCI I POMOCY  
WARSZ. POMOCNIKÓW KSIĘGARSKICH  
WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1910

PG  
7012  
M55



*Wędrowcom tęskniącym  
i drogą znużonym  
i tym co wchodzą w szlaki tułacze  
ten Kielich Goryczy i Mocy  
podaję.*



## SŁOWO WSTĘPNE.

---

»Życie dźwięczało w każdej ducha strunie,  
Moc było słyhać w każdym moim kroku«.  
(Słowacki. *Król-Duch*).

Tematem i treścią książki niniejszej nie będzie analiza estetyczna form i środków wypowiedania się omawianych twórców, sposobów utrwalania poetyckiego ich wizji i budzenia w nas nastrojów i uczuć, odpowiedników własnych ich stanów duchowych.

Nie moja to rzecz i nie to mię nęci w obranych utworach mistrzowskich.

Lecz nie znajdziecie tu również i »p s' y c h o l o g j i« ich twórczości.

Uprzedzić o tem muszę, bowiem nie chciałbym sprawić przykrości zawodu.

Kłamać nie umiem, sobie ni innym.

A »psychologia« czyjejs twórczości kłamstwem by w ustach moich była.

Bowiem nie jest mi tajne, że zamkniętą jest dla nas na zawsze i niedostępną dziedzina pojawiania się następ-

czego stanów twórczych w duszy jakiegoś twórcy, wiązania się ich wzajemnego w długie spojone ogniwa, wyświetlania się ich zarysów i wykrystalizowywania kształtów, uzewnętrznianych wreszcie w skończonej formie tworu. A przecie to jedynie byłoby psychologią jego twórczości.

Nie wiemy nawet, zali twórca sam zdołał uchwycić początek w czasie powstawania tych stanów w jego duszy?

Nie wiemy, zali uchwycić zdołał, co, jak, gdzie i kiedy determinowało w nim wiązanie się w ogniwa takich a nie innych z onych kłębiących się falą nawalną błysków, motywów i linji?

Obawiam się, że mechanizm pierwotny — *sit venia verbo!* — jego twórczości zamknięty jest i dla niego, najczęściej, o ile nie zawsze...

Dla mojej zaś duszy, dla mojej myśli jest i zostać musi — niestety! niestety! — zgoła niedostępny, zawarty na wieki siedmią pieczęci nie m o ż n o ś c i p o z n a w c z e j<sup>1)</sup>.

O żadnym z największych nawet twórców — o Homerze, Dantem, Shakespearze, Goethem, Mickiewiczu i Słowackim, nic nikt dotąd w tej mierze nie powiedział, co naprawdę psychologią ich twórczości było, bowiem poznanie jej, zbadanie i odtworzenie jest absolutnie niemożliwe.

Niemilosiernie okrutny to fakt, ale tak jest, i być inaczej nie mogło i nie może.

Wszystko, co pod nazwą »psychologii twórczości« któregoś z tych poetów pisano, kłamstwem było, lub zasa-

---

<sup>1)</sup> Wypowiedziałem się niedawno zasadniczo w tej mierze, acz w zupełnie innej kwestji w pracy mej: *Próba analizy instynktu* (wstęp do niesłusznie t. zw. psychologii porównawczej).

dniczem a przykrem nieporozumieniem, niedomyśleniem do końca.

Było świadomem lub nieświadomem mamieniem siebie i innych. Było bowiem zupełnie dowolną, nieraz może bardzo piękną, bardzo natchnioną lub w szaty naukowości odzianą, lecz zawsze dowolną konstrukcją. Nawet Wyspiański, sam twórca potężny, w rozmyślaniach nad Hamletem, nie Shakespearową jeno własną duszę twórczą wykazuje, nie Shakespearowego, jeno swego Hamleta psychologię rozwija. Tak jest, niestety, bowiem inaczej być nie mogło.

Kłamać sobie ni wam nie chcę i nie umiem. Wmyśleć się w to proszę otchłannem zgłębieniem możności poznawczych duszy człowieczej i przyjąć tę smutną prawdę, jak ja, pogodnie.

Przyjąć tę prawdę smutną proszę i otwarte jej wypowiedzenie wybaczyć.

I niechaj to was nie zrazi do otworzenia książki mojej.

Może nie mniej tam znajdziecie, niż znaleźć chcieliście... Może to, co w niej znajdziecie, bardziej jest oryginalne, niżście sądzili...

Daję to jedynie, co dać było w mej mocy.

Daję to, co dla mnie w utworach trzech tych poetów najdroższe jest i najwyższe, co mię w nich uderza, zachwyca i boli.

Mówią to, sądzę, tytuły rozdziałów.

Lecz to, co daję, jest w tych utworach: nie w domniemanych, niedostępnych mi bezpośrednio stanach duchowych twórców, lecz w obiektywnie, realnie istniejących tworach, w tem żywym, dźwięczącym, rzuconem w przestwór słowie człowieczem.

Nie krytyk, nie esteta-fachowiec, nie suchy jeno myśliciel, człowiek jestem, z duszą, sercem, myślą i wolą.

Szukam człowieka i piękna spełnej prawdy jego.

Szukając zaś piękna człowieka i prawdy jego, kłamać wobec człowieka nie mogę.

To, co daję z tych utworów, naprawdę jest w nich, i prawdą w nich być musi.

Co?... obaczcie sami.

*R. Minkiewicz.*

Paryż, 1 w października r. 1908.





I.

TCHNIENIE WIECZNOŚCI  
W POEZJI ST. WYSPIAŃSKIEGO

**PRZEMÓWIENIE NA OBCHODZIE ŻAŁOBNYM  
W KRAKOWIE W DNIU 8 GRUDNIA 1907 ROKU**



»Wielkości! komu nazwę twą przydano,  
ten tęgich sił odżywia w sobie moce,  
i duszą trwa wielokroć powołaną,  
świecącą w długie narodowe noce;  
więc choć jej świeży grób oplakiwano,  
przemoże Śmierć i trumien gład zdruzgoce;  
powstanie z martwych na narodu czele  
w nieśmiertelności królować kościele«.

---

Od słów tych — własnych słów Wyspiańskiego  
(z poematu *Kazimierz Wielki*), zwróconych ku Niemu samemu, zacząć mi się godzi.

Bowiem do nikogo z większą słusnością i tak bez  
zastrzeżeń, w całej pełni, stosowane być nie mogą, jak właśnie  
do Niego —

Budziela, niestrudzonego Dzwonnika dzwonów Zy-  
gmuntowych,

do Niego —

Wieszczą, Mocarza spiżowych nieprzebrzmiałych słów,

do Niego —

Harfiarza gędźnych, z tęczowych snów zwitych strun  
serca człowieczego, łkających wieczystą tęsknotą »za  
tem, co hej — w oddali«,

do Niego —

Rozsnuwacza gwiazdnych mgławic nadludzkich wizji  
witrażowych,

do Niego —

Strażnika Niezlomnego »Skarbów Sezamu« i Wawelu  
grobow królewskich, rozwartych w dniu Zmartwych-  
wstania,

do Niego —

Dzierżyciela niegasnącej »Pochodni« duszy wolnej,  
wiary i czynu »Wyzwolenia«,

do Niego —

Twórcy Wszechwzględnego, jedyne u nas Mistrza  
iście Odrodzeniowego — z nieśmiertelnego szeregu  
Giottów, Leonardów i Michał-Aniołów.

---

Nie przychodzę »płakać na zgliszcze«.

Nie będę snuł trenów żałobnych żalu i skargi bole-  
snej nad świeżym grobem Jego powłoki doczesnej.

Dlaczegoż miałbym płakać?

Duch Jego, myśli i dzieł Jego twórczy czyn został tu  
przecie »w nieśmiertelności królować kościele...«

Znikło to, co znikome... co rozwiąć się musi — dziś  
czy jutro, zaliż nie wszystko jedno?...

»Ciało pokrywa marna jest, skorupa krucha«.

(*Achilleis*).

Takeśmy dawno — tak dawno On — czekali Tej Niechybnej. Zdziwienie nas zdejmowało, że przystanęła kędyś w drodze, że się ulękała Jego władnych oczu i za węgiem gdzieś się przyczołgała.

Znikło, co znikome, co nie marzy się być nieśmiertelne.

Z pogodą przyjąć to muszę, jak On to przyjął, On — rozkochany w Hektorach i Achillach, On — który tyle razy powtarza :

»Lichy nawet wróbel nie padnie bez dopuszczenia  
Opatrzności.

To samo i ze mną.

Jeśli się to stanie teraz, — nie stanie się później.

Jeśli się później nie stanie, stanie się teraz.

Jeśli nie teraz, — to musi się stać później.

Wszystko na tem polega: — żeby być w pogo-  
towi u«.

*(Rozmyślenia nad Hamletem).*

Wyspiański był w pogotowiu. Jak Jego bohaterowie.  
Stało się.

Treny, żale, skargi płaczliwe nie powinny mieć miejsca,  
uwłaczałyby bowiem Jego Duchowi.

Uwłaczałyby duchowi dzieł Jego.

Płaczecie, że wcielić nie zdążył pomysłów, co — jak  
dymiąca lawa kłębiły się w gasnącej myśli? że nie wyczerpał  
twórczości?

Niechajcie żalów egotycznych. Twórcą był, i wiedział,  
że morze twórczości wyczerpać się nie da. Jedna, dwie kro-  
ple więcej, ach! cóż to znaczy wobec bezdni nieprzemie-  
rzonych i wobec niegasnącej, wieczystej tęsknoty tworzącego?

Niechajcie żalów!

Staliścież kiedy w obliczu śmierci?

Wiecież, czym jest wpatrzenie się oko w oko w jej otchłanne, wieczność i nicość mieszczące źrenice?

Jakie przejrzenie własnej duszy, do głębi, do dna...

Jakie stopienie się z wszechbytem...

Jakie jasnowidzenie biegu spraw ludzkich, treści i zakresu życia człowieka...

I jeśli się jeszcze wówczas tworzy, jakie wzmożenie, jaki zespół sił twórczych, jaki szal potęgi twórczej, jakie spojenie się, napięcie twórczej woli, jaki lot, wichrowy, zawrotny, rozpierających czaszkę myśli, wizji...

Czy znacie?

Może dlatego właśnie, że zdawna — tak długo — był »w pogotowiu«, w wieczność i nicość wzrokiem wtopyony, może dlatego tak tytanicznie, tak niestrudzenie tworzył i tworzył...

Boć

»iskra jedyna, gdy dogasa,  
cała jej wtedy widna krasa...«

*(Wyzwolenie).*

Cała krasa i cała moc.

»Dziś wszystko dnia jednego zdołę,  
gdy wszystko mam stracone.«

*(Legenda).*

Głębokom przekonany, że wszystko w życiu, wszystko w człowieku zdeterminowane jest nieuniknienie i tak powiązane ze sobą wzajem, że z łańcucha wydarzeń, nawet takich, jak twórcze czyny, żadnego ogniwa usunąć nie mo-

zna, bez naruszenia albo zniszczenia dalszych... że zbratanie się ze śmiercią u Wyspiańskiego zespolone było z twórczością, — i płakać nad grobem Jego nie mogę.

Oto — przeciwnie — raduję się radością głęboką a czystą, bo smutkiem mądrości pojoną, raduję się za Niego — Twórcę, że zeszedł z pola u szczytu będąc twórczej potęgi, że nie zaznał opadania, zaniku, rozkładu Ducha, jak tyłu, tyłu wielkich — *nomina sunt odiosa!* — że nie dożył nieochybnej fazy staczania się wraz z onem niewstrzymanem kołem, o którym mu na Skałce, nad wodą śpiewały Rusalki:

»Wstajesz w chwale, sławie żywej,  
masz w koronie dębów liść;  
koło bieży w bieg straszliwy,  
musisz z kołem na dół iść.

Chwilę jeno w górnym szczycie,  
chwilę jeno w słońcu świeć;  
złudnym jeno blaskiem życie,  
w kole wiecznem na dół leć.

Szczęście kołem bieg swój toczy:  
dziś u szczytu, jutro w dół;  
koło płynie z wód przeźroczy,  
w wodę ginie, w piach i muł«.

(*Skałka*).

Raduję się za Niego — Twórcę, i za nas, w Ducha Jego wpatrzonych, żeśmy rozkładu Ducha-Mocarza nie widzieli.

Oto żywie w nas — w duszach naszych, oto żywie na ziemi realnie, w dziele swoim, Wielki do końca, do końca godny siebie, Twórca Wszechwzględny — Apollo, »w górnym szczycie« Panteonu twórczości.

---

Fakt Śmierci Jego, acz spowodował to wypowiedzenie się moje, nie wniesie sam przez się żadnego pierwiastka w treść jego, żadnej nuty innej ponad te, które drgały i grały we mnie dotąd na oddźwięk Jego imienia — melodją czarowną, potężną i czystą.

Cóż się bowiem zmienić miało?

Bo jeśli fakt ten właśnie zmusił nas do przejrzenia całości twórczego życia Jego, od krańca po kraniec wskroś, przejrzenie to ukazuje nam przedziwną pełnię: — pełnię nabrzmiałej potęgi, skończonej w sobie od początku. Pełnię twórczości, w obramienie Wieczności ujętej, wpartej w nie dłońmi mocnymi, w Nieskończoność nieznużenie rozwarłymi oczyma wpatrzonej i wzrok Nieskończoności ustawnie na sobie czującej, chłonącej jej tchnienie, tchnieniem tem jedynie żywiącej i wpajającej to tchnienie Wieczności ze siebie tworom swoim, w kształt spiżowy wkute, w darze spragnionym duszom ludzkim.

Taką jawi się twórczość Wyspiańskiego od początku.

Wyspiański-twórca, Wyspiański-Apollo, wyszedł z łona Chronosa, z woli Mojry, wiekuistej władczyni bogów i ludzi, odrazu, jednym rzutem samouświadomienia, samoowładnięcia twórczego, skończenie pełny odrazu, jak Pallas-Athene z głowy Zeusa.

Nie dla pięknego frazesu to mówię, jeno dlatego, że



jest mi to oczywistością niezaprzeczną... której dowodzić zbyteczna, wystarczy wskazać.

Weźcie *Legendę* — w którym chcecie wydaniu, czy onem z Paryża jeszcze z r. 1892, czy tem nowem, zmienionem zupełnie z r. 1904.

Czytałem sobie i innym, już nie wiem, wiele razy ten pierwszy utwór dramatyczny Wyspiańskiego.

Długi szereg różnolitych, barwnych, plastycznych obrazów. Nieprzebrane bogactwo przedziwnych motywów dźwiękowych, od wichrowych surm bojowych, poszczęku oręża i tłumnego rozgwaru walczących drużyn do przeciełego wygrywania pacholęcej piszczałeczki, nadgrobnych ballad gęślikowych, śpiewek dziewczęcych i syrenich, rusańczanych wabień podwodnych. Od grzmotu piorunów i wichrów poświ-stu do cichego łkania fali wiślanej. Od zaklinań modlitewnych Wandy do przekleństw oszalałego w strachu i grozie ludu.

I dalej. Przepych, niesłychany dotąd, mowy lechickiej. Niezliczony tłum postaci mitycznych o zupełnie wykończonym, jędrnym, żywym życiu dramatycznym.

A poprzez to wszystko wijący się nicią złotą czy raczej czerwoną dramat Wandy, konsekwentnie ku końcowi swemu idącej, wybierającej śmierć świadomie

»z czuciem i uczuciem człowieka, który chce czynów swoich, sobie przeznaczonych nieomylnie się doczekać«.

(*Hamlet*).

I ponad tem jeszcze rozwiana mgłą pajęczą owa przedziwna, Wyspiańskiemu jedynie właściwa liryka wyjaśnień autorskich, wstępów i zakończeń, cudnych, rzewnych, poruszających do głębi.

Gdzież tu mówić o ewolucji Jego mocy twórczej w dalszych utworach?

Zali nie oczywista, że jął się ryłca i młota już wrósłszy duchem w obramienie Wieczności, już owiany, wypełniony i prześwietlony słonecznym tchnieniem Wielkiej Sztuki. Dla takich duchów szkolne okresy twórczości nie istnieją. Nie istnieje kwestja naśladownictwa, wzorowania się czy pożyczania tematów.

Wszystko, co jest w nich i z nich się uzewnętrznia, jest samo przez się, dla siebie i ze siebie, — jest istotą rdzenną, własną, samoistną, skądkolwiek bądź pochodzą ziarna, zapadłe w glebę płodną ich duszy... gdyż takie jeno, własne, rdzenne, z nich idące i w nich pełny byt mające, stać się dla nich może tworzywem i kształtem.

Tak jest z Wyspiańskim.

Mickiewicz, Słowacki, Homer... jako indywidualności twórcze nic tu nie zaważyły, jeno materiał dają surowy, materiał życia i postaci, jak dają go gdzieindziej przewijające się wydarzenia ludowe — *Wesela*, *Klątwy*, *Sędziów*, jak daje go przeszłość historyczna Wawelu, Krakowa, Skalki, jak daje go mitologja słowiańska i grecka, jak daje go wreszcie otaczająca natura, barwna, słoneczna i dźwięków pełna, błoni, borów, Wisły...

I tylko. Oczywiście jest to dla każdego, kto wczytał się, wżył, wczuł, wmyślał w greckie właśnie dramaty Wyspiańskiego i zestawił je z Homerem.

Gdy w akcie drugim *Wyzwolenia* Konrad, mocując się z maskami i z myślami swemi, potrąca wypadkiem w Mickiewiczowskie *Nieśmiertelność czuję...*, jedna z masek (ośmnasta) wnet go chwytła na »plagjacie«:

»To raz już było powiedziane;«

na to Konrad:

»Może, — tak, wiem. Teżę chwili już wiem, ale dla was znów to jest przypomnienie i już znów myśl się dla was gubi, bo nie widzicie myśli, ale człowieka. Tak jest, dotąd nie widzicie myśli mojej, tylko mnie, a nie o mnie chodzi...«

Chodzi bowiem o coś, co nie ginie tak łatwo: — o twórczość, o dzieło życia.

Wszelki materiał wydarzeniowy postaci ludzkich, wszelkie środowisko społeczno - historyczne, wszelki teren rozwoju akcji jest równie dobry... bo każdy w tej twórczości, wpatrzonej w nieskończoność, jest równie przypadkowy, spowodowany warunkami życia, kształcenia się, urodzenia poety... i każdy, podpadłszy jej jako tworzywo, staje się wnet jednako koniecznym i organicznie z twórczością spojonym.

A staje się to wówczas, gdy wrośnie w duszę poety, gdy dusza go przerośnie nawskroś i przyswoi, to znaczy ujrzy związek jego z wszechbytem, z wszechświatem rzeczy, z istnieniem człowieczem, z wszechludzkiem zagadnieniem... wówczas, gdy rzecz ta, to wydarzenie staje się reprezentantem wszechrzeczy, duszy człowieczej i duszy świata we wszechwzględnej, wszechobejmującej duszy poety.

I dlatego to Konrad mówi o sobie:

»Jestem w każdym człowieku, żyję w każdym sercu.«

»Bo rzecz każda, — mówi Emerson — tkwi korzeniami swymi w samym środku natury, i przeto może być ujęta w sposób reprezentujący wszechświat«.

(Szkic: *Sztuka*).

Zaś »kto w Duchu (*athma*) wszystkie widzi rzeczy i Ducha widzi we wszystkich, dla tego rzecz żadna obcą nie jest«.

(Z *Jadžur Wedy białej: Isa upaniszada*<sup>1)</sup>).

Dusza bowiem ludzka jest jedna zawsze i wszędzie.

»Co zaś prawdą jest [w człowieku], to na każdym etapie rozwoju jest prawdą tą samą«.

(*Hamlet*).

Człowiek, który »wyrósł« duszą, który w cichej głębi swego wnętrza wszystkie etapy przeszedł, myślą ogarnął i »zdobył«, w każdym zagadnieniu ludzkim potrafi dojrzeć zagadnienie ogólne duszy człowieczej, swojej duszy, z całością zagadnienia ludzkiego związek jej ująć i odtworzyć, gdy jest poetą.

»Bowiem poeta — mówi w innym szkicu Emerson — ma znaczenie reprezentanta. Pośród ludzi niepełnych reprezentuje człowieka zupełnego, i uszczęśliwia nas bogactwem nie swoim już tylko, lecz świata całego«.

(Szkic: *Poeta*).

---

<sup>1)</sup> Nie z tłumaczenia W. Berenta, które uważam — niestety — za zbyt modernizowane, zbyt naciągane do Nitzscheizmu, gdy w słoce powyższej, np. tłumaczy *athma* przez nitzscheańską »samość«, zapominając zupełnie o zdwajaniu się egzo- i ezoterycznym onego pojęcia *athma*.

I dlatego, gdy Konrad w myślach się łamie (w akcie drugim *Wyzwolenia*), — »żyje i myśl swą rozwija«.

I co najważniejsza, kiedy zaczyna myśleć w jakiej chwili, nie wie: — jak myśl swą rozwinie i gdzie myśl swą zaprowadzi.

Jeno to jedno wie, że zdolności i zdatności swej do myślenia zaufać może. Myślenia te więc Konradowe to są jego zdobycze. Zdobyczy tych już nikt mu nie jest w stanie wydrzeć. Zdobycze te, jako łup, zatrzymuje i rośnie.

Zdobywa coraz trudniejsze w ciągu wieczoru szańce i etapy zakłada na coraz wyższym tarasie tego zamku myśli, po których z nim razem coraz wyżej kroczy Wyspiański.

I Konrad z tarasów tych, coraz wyższych, już nigdy nie zstąpi. I tylko może pójść wyżej. Niżej nigdy nie zejdzie. (Z rozmyślań nad *Hamletem* dosłownie. Jeno wyrazi Hamlet i Szekspir zamieniłem na Konrad i Wyspiański).

I gdy Konrad w myślach się łamie, nie wiecie już, czy to Konrad tylko, czy wraz z nim Wyspiański i wy sami?... nie wiecie, czy tu o wyzwolenie duszy Konradowej idzie jedynie, czy o wyzwolenie waszej duszy, duszy człowieka wogóle, i narodu?... jak nie wiedzą Maski.

Bo Konrad »jest w każdym człowieku, żyje w każdym sercu«.

I napięcie uwagi widza jest tak wielkie, jakby z Konradem wraz rósł duszą, etapy wyższe »zdobywał« i czynu swego, i czynu narodu szukał...

I dlatego, gdy Marja (w *Warszawiance*), bólem zmiażdżonego Losem serca gięta, w wizjach się krwawych wije oszalała w rozpacz, w oczach jej błysk tak płomienny się żarzy, że nawet spiżowy hart Chłopińskiego stapia, i kiedy zaczyna:

»Struny harfiane przez pierś moją grają  
i dźwięczą jęk i rozpacz«,

wizja śmierci jej ukochanego, jej »Orła« z wizją skonu Orła Białego się zlewa... a ona, konająca w bólu z Polską się utożsamia, na bój śmiertelny idącą:

»Byłam wolną,  
buntowna przemocy,  
oto mię w kajdany zakuto.  
Byłam panią, oto mam być sługą,  
bom dłoń wzniosła,  
skowaną dłoń nieudolną. —  
Zagojone mi rany rozpruto.  
Otom w niemocy,  
żelazną spowita kolczugą«.

I dramat jej w łzawiących oczach widza z ojczyzny dramatem w jedno się zlewa i lękiem mrozi, mimo że wokół śpiew brzmi radosny:

»Leć nasz orle, w górnym pędzie!«

I dla tej samej przyczyny: powszechnej reprezentatywności rzeczy każdej w duszy poety, — owa niewinna ballada gędźców, którą Łopuch i Śmiech, pokręcając lir, nad umarłym Krakiem śpiewają:

1. »Bywało, bywało,  
wesele się śmiało  
i Gody.  
A owo jak ptacy  
wesele pierzchało  
i gasły jak zorze urody.

2. Jak Zorze, jak Zorze,  
wesele się śmiało;  
nie smętni byliśwa,  
nie tacy.  
A owo jak woda  
wesele spływało;  
kaj w czeluść zapadło, jak wody«.

(*Legenda*).

— owa niewinna ballada urasta do znaczenia wszechludzkiego i w smętną, ciężką zadumę duszę waszą spowija nad tem, co już ubiegło i nie wróci, wrócić nie może... a w myśli wstają ciche, mądre słowa *Gentile*:

»La gioia è sole d'inverno: sorge tardi, tramonta presto«. (Radość, jak słońce zimowe: późno wschodzi, zachodzi szybko...)

A dalej — w tej samej *Legendzie* — gdy zewłok knezia Kraka, porzucony na Wiśle, jako Martwica, uwikłany w wikliny, tkwi u brzegu i woła wkółko błagalnie:

»Tak was proszę, weźcie w dłonie  
z mojej torby ziaren garść;  
wraz zakwitnie w zieleń błonie...

Hej, bo ziarno ze mną tonie,  
hej, bo ziarno idzie w nic;  
weźcie ino trochę w dłonie,  
wraz zakwitnie w zieleń błonie,  
będzie można siec...«,

czyż nie wieje stąd na was bojaźń rozpaczna nie Martwicy-Kraka, lecz Wyspiańskiego-twórcy, i każdego twórcy, w jakiejbądź tworzy dziedzinie, że daremne, daremne były wysiłki i

»ten trud co mnie zabijał«,

że

»w marność idą ziarna moje,  
kto wie, kto je siał?«

Gdy zaś Martwica kończy zwrotem nagłym:

»A kiedyż się wypłaczą łzy,  
i spłyną lód i kry — ?  
A kiedyż przejdzie straszna noc,  
i wróci krew i moc?« —

— zagadnienie rozszerza krąg swój zachłanny i brzmi skargą bolesną i trwożną obawą Kraka, Wyspiańskiego i waszą, waszą nadewszystko — o szczęście wasze i losy narodu.

I dla tej samej przyczyny wszechwzględnej reprezentatywności duszy Poety, a w niej każdego zagadnienia, urastającego w nieskończoność, — dla tej samej przyczyny, gdy w *Weselu* Chochół słomiany intonuje swą straszną, na patykach miast strun skrzypiącą, zgrzytającą po sercu waszem pieśń:

»Miałeś chamie złoty róg,  
miałeś chamie czapkę z piór:  
czapkę wicher niesie,  
róg huka po lesie,  
ostał ci się ino sznur,  
ostał ci się ino sznur...«



a kogut pieje, pieśń nie pijanego tylko drużby Jaśka tycze, rozrasta się w chmurę czarną, złowieszczą nad duszą waszą, i urągowskiem dzwoni nad tem, coś posiadał, człowiecze, i niebacznie zmarnił, utracił, chwilą wesela upojony...

I leci krakaniem przerażnem kruka, skrzydeł rozmiotem zakrywającego słońce... leci nad ziemią polską i kracze z chichotem szatańskim:

»Miałeś, chamie, złoty róg...  
Miałeś, chamie, złoty róg...«

»Miałeś... miałeś...«

A Jasiek »tknięty, przytomniejąc« — a dusza wasza ocknięta, dusza wasza człowiecza, wasza polska dusza, rozpacznie woła:

»Jezu, Jezu!...  
Hej, hej, bracia, chyćcie koni!  
Chyćcie broni, chyćcie broni!...

Nic nie słysom, nic nie słysom,  
ino granie, ino granie,  
jakiś ich chyćło spanie...«

Jasiek — dusza wasza — ocknięta, daremnie woła w rozpacz, bo róg zginiony — złoty róg zginiony — zgubiliście sami...

I pary weselników kręcą się w tańcu pośniętym, bez końca, bez końca... pary weselników, ludzie, Polacy, życia waszego czynności zwyczajne... bez końca, wkółko... a pieśń gra:

»Miałeś chramie złoty róg...  
Ostał ci się ino sznur...  
Ostał ci się ino sznur!...«

---

Takiem jest owo tchnienie Wieczności, przenikające wskroś twórczość Wyspiańskiego.

Wszelki materiał wydarzeniowy życia ludzkiego równie jest w niej znaczący, równie ważny, bo wszelki, wrósłszy w duszę Poety, staje się ośrodkiem krystalizacyjnym całego zagadnienia ludzkiego: jednostki, narodu, ludzkości...

Wszelka chwila dziejowa jest równie znacząca, bo w duszy Twórcy, biorącego ją za moment akcji, staje się koniecznym ogniwem w nieskończonym łańcuchu wieków i dźwięka odgłosem całego łańcucha...

Wszelki teren akcji tyleż waży wobec nieskończoności przestrzeni wszechświata, i wszelki również dobrze naturę bytu wiekuiętą uwydatnia, a w duszy Artysty staje się — bo musi się stać — nieuniknienie związany z momentem, w którym się akcja rozwija i z samą akcją, z samym materiałem ludzkich wydarzeń.

I dlatego zupełnie naturalną się nam wydaje i organicznie ze sobą spojona treść *Akropolis*, owego przedziwnego utworu, gdzie się Wisła ze Skamandrem utożsamia, gdzie Wawel z Iljonem, Polska z Troją, Harfiarz-Dawid z Wyspiańskim samym, Chrystus zmartwychwstający z Bogiem wschodzącego Słońca się zlewa... wschód zaś Słońca ze Zmartwychwstaniem już nie Chrystusa tylko i w Chrystusie, lecz z odrodzeniem człowieka, narodu i ludzkości całej.

Nie razi nas to bynajmniej, raczej urasta w naturalną konieczność utworu i w zwycięskie jego piękno...

»Pod skejskim donżonem, na blankach, na murach  
pancerni przysiedli stróżowie;  
lby wsparli na szpadach, na srogich kosturach,  
na czatach na zamku w Krakowie.  
Noc w mieście głęboka, Skamander połyka,  
wiślaną świetląc się falą...«

(Akt II).

Lub też końcowe wołanie Kassandry:

»Hej, Wisłą płynie kra...  
Wiosna, — kto jej doczeka?...«

Albo czytajcie, czytajcie końcowe ustępy *Akropolis*,  
choćby od strofy XVI-ej Harfiarza poczynając, od słów:

»Nie będzie już bólów ni łez!...

Przybywasz oto władzy Lew,  
na wozie Bóg ognisty;  
ognisty deszcz, gdy zmarszczysz brew,  
O Wielki, Wiekuisty!  
O Nieśmiertelny, ponad świat,  
nad światy władny mnogie;  
położysz kres niewoli lat  
i pęta ujmiesz wrogie.  
Pokruszysz pęta, w skrzydeł lot  
na nieśmiertelne trwanie.  
Niechaj na dzwonach bije młot  
Twe wielkie Zmartwychwstanie!«

---

Nie wiem zaprawdę, co tu należy bardziej podziwiać: czy głębię i jasność uświadamiania się twórczości w sobie, dochodzącego do najdalszych granic samowiedzy, czy też niesłychaną bystrość i siłę intuicji artystycznej, wiedzionej jeno wrażliwością, jeno nastrojem?...

Sądzę, że jedno i drugie, wzajem splecione. Bo gdyby Wyspiański nie był do dna świadom istoty twórczości, nie byłby w stanie napisać tak głębokiej, a zarazem tak niezwykle prostej księgi, jak *Rozmyślania nad Hamletem* i twórczością Shakespeare'a.

---

Ta jednak wszechwzględność, ta powszechność, ta, jak się wyraziłem, ośrodkowa reprezentatywność to nie jedyny atrybut twórczości, żywiącej tchnieniem wiekuistym.

Są inne.

Oto akcja bohatera rozwija się wśród przeczuć przyszłych losów, pod świadomością nieuniknionych przeznaczeń, wiodących ku końcowi, pod śmiertelnym tchnieniem nieubłaganej Mojry.

A ten poblask przyszłości fatalnej jawi się wielorako. Raz, jak w *Warszawiance*, *Nocy Listopadowej*, *Lelewelu* itp. ciąży nad czytelnikiem — widzem, jako wiedza historyczna, i krwawą smugą cieniu kładzie się na jego duszę, wpa-trzoną w zapasy, usiłowania, nadzieje i wzloty bohaterów.

To jednak złożyćby można na karb historyczności tematu.

Ale u Wyspiańskiego to nie od tematu zależy, jeno z istoty samej twórczości wypływa.

Wysłuchajcie się, wsłuchajcie w krucze wieszczczenia

Marji w *Warszawiance*, w obłąkane wizje jej duszy zranionej, gdy wkoło brzmi pieśń radości i nadziei:

»Leć, nasz orle, w górnym pędzie...«

Wpatrzcie się w zaświatowy wzrok Lelewela i Chłopińskiego, w pewnych momentach skupienia ich ducha. Wsłuchajcie się w dziwne niekiedy brzmienie ich słów. Wniknijcie w drgające w nich przecucia...

Oto dziwne, niezrozumiałe wieszczczenia Krasawicyrusalnej w *Bolesławie Śmiałym* i owa wyzywająca, mrożąca serca, moc jej wzroku, przed którym Biskup jeden nie uchyla oczu, gdy ona woła:

»Rzeź wam wróżę! A śmierci wam życzę,  
któren pierwszy mnie pojrzy w oblicze!...«

a widz lękiem zdjęty wie, kogo Śmierć już czeka.

Oto zlatujące z przestworów boginie (Pallas z wieloma Nike), szeleszczące skrzydłami nad duszą Piotra Wysockiego, wiodącego belwederczyków, pchające go na czyny, a czynów tych kres krwawy naszeptujące mu zcicha... Oto cały prolog *Nocy Listopadowej* w gromami przecuć nabrzmiałej zawierusze ich napowietrznych przegwarek... Jakimż duszę waszą zwidem-koszmarem owija od początku i serce wasze oczepia najeżoną kolcami siecią przecuć, zanim jeszcze uderzać zacznie współczulnie z sercami bohaterów.

Oto »szeroko rozwarte jasne oczy« Joasa, blędogo o przeświecającej cerze wyrostka żydowskiego, skrzyпка... dziwne, wielkie oczy dziecka, nie znającego wcale życia, grzechów i zbrodni, a przecie w jasnowidztwie prze-

czulonego serca czytające z rysów ojca, starego lichwiarza, rzeczy tak straszne, że to serce przerażone bić przestaje.

Jo a s. »Bracie, mnie jasność przejmowa  
i widzę wtedy wskrós serca  
i czytam wtedy pisane  
myśli na czole ojcowém  
i wiem, że są sprawiedliwe.  
A gdy się, o broń że Jehowa,  
myśl jakaś wkradnie męśliwa,  
to zaraz mię serce zaboli.  
Muzyka się moja urywa...

Natan. Myślisz ty, że Bóg tobie gada?

Jo a s. Że Bóg przezemnie ostrzega  
przed karą, co późna spada...«

Brzmienie słów ostatnich zawiązkiem jest akcji *Sędziów*, zawiązkiem już grozą przeczuć nabrzmiałym: »k a r y, c o p ó ź n a s p a d a«.

Nawet wśród ludzi tak prostych, jak królowa Althea w *Meleagrze*, lub jeszcze lepiej Młoda, ta brutalna Gospodyni księża i kochanka, od połajanek której rozpoczyna się *Kłątwa*, nawet wśród nich akcja zawiązuje się wśród dziwnych, grozą wiejących przeczuć, objawiających się tutaj w jedynie możliwej u nich postaci snów, niepojętych, przejmujących, złowieszczo wróżebnych. I gdy w *Kłątwie* kopacze, zgniewani nieustającym, dokuczliwym zrządzeniem Młodej, »rzucają jej pod nogi motyki«, wołając:

»Grzesznico, — Bóg cię skarze!  
Kajaj się życia twego! Strzeż dusze;

zdala od domu tego idź we skrusze!  
Pobierz het wszystko, co twoje;  
idź sama precz daleko,  
nim na cię Boże Sądy się zwleką...«

Młoda przypomina z drzeniem serdecznem swój straszny sen, i lęku pełna oczekuje już jego spełnienia, boć wie, że

»mam się strzedz  
czyjego przeklinania,  
bo stałoby się prawdą  
co ze snu wiem«.

Nie ustrzegła się: przekłeto ją, tragedia się rozpoczyna, z rosnącym nieustannie odtąd napięciem grozy, lęku i męki straszliwej...

---

Niekiedy zaś wzrok człowieka jak ostra stal zasłonę śmierci tnie i wklina się w wieków idących zamrocz, z zimnym jak stal Śmiertnej kosi spokojem.

Czytajcie rozmowę Priama z Hekubą:

Priam. »Ja ino ku temu patrzę, co przyjdzie, im dalej, im dalsze, tem mnie milsze i duszy mojej...

Hekuba. Cieszą cię dzieci moje?

Priam. Nie, — to już minęło.

Hekuba. Radują cię dzieci moich?

Priam. Nie, — to już minęło.

Świat ich się zamknął,  
mój stoi otworem.

Ja widzę dalej, het poza ich żywot,  
który się zdaje krótki«.

*(Akropolis).*

Wczujcie się w owo tytaniczne zmaganie się myśli i duszy Biskupa-Mocarza, zwyciężającego wszystko w imię swej Prawdy, ze zjawą mocniejszej odeń Śmierci, zeszedł ku niemu z surową oceną jego czynów i z nieubłaganym wyrokiem przyszłości:

»Prawda Twa  
we śmierci jeno wiecznie trwa.  
Gdy żywi życiem poczną żyć,  
z żywymi Ty nie możesz być«.

*(Skalka).*

Dusze jednak, tchnieniem Wieczności owiane, nie łamią się, nie gną, nawet pod ciężarem wizji surowego Losu, nawet pod brzemieniem świadomości niechybnego końca, kresu mocy i czynów.

I czynów nie poniechają.

»Ducha twego siłą zgonu mierzą«.

*(Achilleis).*

Czynów nie poniechają, bowiem wizje ich, przeczucia i uświadomienia są stanami

»człowieka, który chce czynów swych, sobie przeznaczonych, nieomylnie się doczekać i nie uczynić niczego, co by cię na niego rzucić mogło«.

*(Hamlet).*



Ze spokojem, radosnym niemal, idzie Rapsod ku Śmierci.  
Jakie ocknienie Mocy uśpionej zadrgało w Chłopiickim  
w oddźwięk na wizję Śmierci:

»Duch wielki zadrżał we mnie znów na głos wojenny.  
Drzę, drzę, to radość, ton, — Sen, Los niezmienny.  
Z założonemi na piersiach rękami,  
czekam, aż sen się stanie prawdą żywą,  
a rzeczywistość zasunie się mgłami.

i widzę gwiazdę mą szczęśliwą... leci,  
jak meteoru błysk ogniowy, —  
upadła w otchłań, ... na dnach otchłani  
jeszcze zwodniczym błyskiem gwiazdy świeci...  
— Los niech dopełni się...; Fatum mnie mami.  
Dobrze i dobrze, z wami idę, z wami!«

*(Warszawianka).*

Modłami spokojnemi z księgi Rodzaju kończy Biskup  
swoją ze Śmiercią rozmowę zaduszną...

I idzie w drogę swą.

Jak idzie Hektor:

»Iść muszę, kędy sztandar mój,  
kędy proporzec załopoce;  
przeznaczeń wicher go podrywa;  
tam wiem, że Bóg Hektora wzywa, ■  
bym szedł i walcząc przetrwał noce.

Wiem, jaka moja moc i siła,

Wiem, jaka wola...«

*(Akropolis).*

W ślad odchodzącego biegną słowa starego Priama:

»...W męce,  
we wiecznej męce ducha.  
Jakowejś władzy górnej słucha  
i ognie ma w sobie...«

A wiecież, jaka to »górna władza«, jaka »wola«...?  
Hektor sam wam to powie, jak powiedział Ojcu-  
Priamowi:

»Dusza«.

I jeszcze:

»Ojcie, — to co ja robię,  
czynię dla się i przez się«.

W nich bowiem samych, w tych duszach — trwaniem ży-  
jących wiekuistym — tkwi nakaz ich czynów, i tkwi ich prze-  
znaczenie.

Same je sobie nakreślają.

»Sam sobie człowiek stwarza wolność i niewolę«.  
*(Hamlet).*

Same ku niemu i za niem idą, jak Wanda, modląca się do Zywi:

»Pokrusz me ciało, spal i zniszcz  
a duszę daj zwycięską,  
niech zapanuje duch nad zgliszcz  
a Sława ponad Klęską!« *(Legenda, II. wyd.).*

Wiedzą, ku czemu i poco idą, jak Hektor wiedział, że

»Jestem na to postawion  
walką, ustawną walką...

Wytrwam i będę zbawion«.

Wytrwają!

Muszą iść i wytrwać, bo muszą być sobą, bo mają siebie, i siebie znają.

»Nie wiecie, co to jest dusza, siła, która jest tem, czem chce, i nie jest tem, czem nie chce...

Jej nie macie. Nią nie jesteście. Bo mieć ją i nie być nią: to nielogiczne«,

woła Konrad do masek w *Wyzwoleniu*.

Lecz naturalnie

»myślą ku temu dorastać można tylko stopniowo«,  
jak Achilles, jak Konrad.

»A po stopniach tych można iść tylko rosnąc duszą, a ze stopni raz myślą zdobytych nie ustępując!

Co zaś prawdą jest, to na każdym etapie rozwoju jest prawdą tą samą«. *(Hamlet)*.

Bo prawda ta — to właśnie mus ich wewnętrzny, konieczność ich ducha, niezłomna potrzeba ich jaźni i woli. Wiary w prawdę tę stracić nie mogą, bo u nich

»Wiara znaczy:

co masz w twym sercu — strzeż i tego słuchaj;  
głos to jedyny który prawdą woła  
i nie pozwoli splamić rąk ni czoła.« *(Hamlet)*.

Gdy więc duszą wzrosli, gdy myślą do prawdy swej dorośli, nie pójść po czyn swój nie mogą, bo myśl i czyn to jedno dla duszy w wieczność wpatrzonej.

»Chcę w czynach swoich obaczyć swą duszę«,  
woła Telemak w *Powrocie Odysa*. Bowiem

»od czynów muszę zacząć być, by myśl rozwinąć...  
...!bo myśl własną zdobyć można jeno w walce«.  
(*Hamlet*).

Bo wreszcie »mieć duszę i nie być nią: to nielogiczne«.

»A czyny wielkie to są czyny prawe!«<sup>5)</sup>  
(*Hamlet*).

I gdy się już duszą i myślą wzrośnie do prawdy swej i czynu swego, jawi się wówczas Hestja z pochodnią »du-szy wolnej«, i pochodnię tę do rąk daje:

Hestja. »Strzegę twoich ócz i twoich rąk,  
uchylam od cię mąk,  
zdejmuję z czoła znamię trwóg,  
byś był, jako ten, co nie pamięta,  
przez jakie przeszedł ciemnie dróg.

Ty masz być z Bożych sług.

Panem będziesz moim i sługą.  
Strzedz tobie ognia, który palę  
rękoma mojemu.

Wziąć tobie topór oburącz  
i siaść stróżem u proga.  
I nie zwolić ni piędzi ziemi.  
Co Bóg rozwiązał — łącz!  
Z rozkazu i woli Boga!«

(*Wyzwolenie*).

Kto zaś z rąk Hestji wziął pochodnię duszy wolnej,  
zgasić jej nie może.

»I tylko może pójść wyżej. Niżej nigdy nie zejdzie«.  
(*Hamlet*).

Bo jeśli ją zgasił, »potępion będzie«, wraz  
z jej płomieniem zgasiłby siebie, zabiłby w sobie jedyną  
treść istnienia.

»Niegodni, niegodni istnienia!  
zaparliście się tworzenia,  
odprzysięgliście sumienia,  
cóż ręce wasze mogą?  
Trwożliwe duchy, zaprzańce,  
precz w otchłań, w Noc zapomnienia —  
Niegodni, niegodni istnienia!...« (Legion).

Skazałby siebie na wiekuiłą, straszliwą mękę:

»Gdy straci żarów świętą siłę,  
choćby w ofierze dla narodu —  
dośćigną mściwe Erynijsy,  
dośćignie sęp wiecznego głodu«.  
(*Wyzwolenie*).

Targać się będzie wieczyście. Wołać daremnie...  
Utraconej »duszy wolnej« odzyskać niepodobna.  
Pochodni raz zgaszonej niema o co zapalić.

Życie nocą mu będzie ciemną... W grób za żywo  
wtracon będzie, a ponad nim drzwi duszące zawrą się z łoskotem na zawsze.

»Już biegną w stronę drzwi gromadą...  
Zaparte wrota. Nadaremno.  
Wracają znów na scenę — noc:  
szukają wyjścia w noc tę ciemną; —  
żelaznych wrót żelazna moc!

Ku innej stronie znów się rzuca  
i bieżą, gonią i znów wróca,  
szukając wyjścia w Noc tę ciemną  
daremno, zawdy nadaremno«. *(Wyzwolenie).*

Rozumiecie, dlaczego, gdy Konrad w walce z Genjuszem — Harpją narodu niebacznie w zapędzie gasi pochodnię, sztuka i rola Konrada skończone być muszą?

Bo ten, kto duszę »wyzwolił«, kto myślą dorósł, i duchem w strop wiekuisty sięgnął, pochodni zgasić nie może. Wyrwać musi do końca, boć właśnie jest tym, który

»sam sobie stwarza wolność i niewolę«,

i gdy raz wolność osiągnął, na niewolę skazać siebie nie będzie w stanie.

Gdyś sam »duszę wolną« wybrał ze »skrzyni tajemnicy« Pandory, spotkanej »u wiecznych wrót tęsknicy«,

»pójść tam musisz, — gdzie się pali  
płomień dla twego ducha,  
gdzie ciało lżyli i stargali  
że schnie jak prątka krucha;  
choć się dusza męce żali,

pójść musisz ciężar przyjąć twój  
i przyjąć wieniec łez, koralu,  
którym cię truli i kochali  
w ten sam doczesny znój«. *(Skalka).*

Wiedział to od początku.

Sam wybierał. Sam stwarzał swoją wolność i niewolę...  
Z Hektorem też mówi:

»Wytrwam, — i będę zbawion.

I walcząc przetrwam noce«.

Wpatrzony w trwanie wiekuiste, im jeno duszę weseli  
i poi... I wie, że zwycięży.

»Wołaniem oto naszym zwycięstwo! — Zwycięstwo  
Hasłem i Wołą! Zwycięstwo!... nie to, które wyrzeka  
się ciała i krwi i mocne się być zapowiada anielskimi  
skrzydły, a jego oblicze trupiego wdzięku tchnie uro-  
kiem zabójczym.

Zwycięstwo! niosę ze krwi i ciała, z woli żywej  
i żywej Potęgi, — mocne wołą nad świat władającą,  
wołą, co ze mnie jest i przychodzi zwyciężyć!!«

*(Wyzwolenie).*

Bo wie, że

»idziesz przez świat i światu dajesz kształt przez  
[twoje czyny,  
spójrz w świat, we świata kształt, a ujrzysz twoje  
[winy«.

*(Powrót Odysa).*

Wie, iż życia jego, myśli i ducha i żywego czynu od-  
blask kładzie się na pokolenia i trwa w nieskończoność...  
i zwycięża... wciąż zwycięża... wciąż »śmierć przemaga«,  
wciąż się odradza.

I to jedno, to jedno weseli duszę jego i oczy w dal  
nieścigłą wpatrzone: wiekuiste trwanie.

Bowiem duchom tym, jak Achillowi, nieustające nigdy  
fale wiekuistej rzeki, nad którą wpatrzeni stoją i wsłuchani,  
szemrzą cicho:

»Żywot twój nie na jednym zakończy się bycie.  
Będziesz się błąkał duchem we gwiazd zawierusze,  
Aż trud podejmiesz nowy, nowe zaczniesz życie...  
W odległe wbiegniesz puszcze, nad jeziorne głusze.  
Jako orzeł polecisz na skrzydłach niesiony.

Wzbudzisz nowe narody do siły i czynu.  
I zginiesz, jako teraz, gdy sięgniesz wawrzynu«.

*(Achilleis).*

Nie lękają się śmierci i niepowodzeń.

Wiedzą, że siew ich duszy wolnej, ich woli twórczej  
i czynu zaginać nie może. Strzeże go Kora — wieczyście  
odradzająca się Wiosna:

»Oto wieki ożywią idące.  
Wieki i lata, co przyjdą,  
żyć będą ziaren tych treścią.  
Ziemia rodzić będzie,  
kędy siew padnie zdrowy.  
Ludzi zbudzę, roześlę orędzie,  
na żywot, — żywot nowy!



Pokoleniom ostawię czyny —  
po ojcach wielkich, — wielkie wskrzeszę syny, —  
kiedyś, — — będziecie wolni!  
Co złego w was i co marne,  
to jako plewy i ziele złe zgarnę;  
co chwastu na waszej roli  
i co szkodzi wam i co was boli,  
to ukoję — czasu przebiegiem...  
Przejdziecie jeszcze niejedną nędzę  
i niejedną przebolicie próbę.  
A jeżeli lichego serca ludzie  
w was samych gotują wam zgubę, —  
ja ich powołam, — i jak plewo zmiotę!  
I w ziarnach tu — na dnie — przechowam cnotę!  
Za czas znów wrócę — i jeszcze razy wiele  
przyjdę — Wiosna, z gwiazdą na czele  
i żywot dam, — tlejący w zgliszcz popiele!«

*(Noc listopadowa).*

---

Takiemi są duchy, w trwanie wiekuiste wpatrzone, za  
trwaniem nieskończonem idące czynem żywym.

Takiemi są postacie, z tchnień wiekuistych, pełniących  
duszę Twórcy, zrodzone mocą Jego woli.

Takim też jest Duch Poety, promieniujący w tworach  
swych owo tchnienie, którym żywie.

Bowiem »opowiadając« ich dusze, swoją duszę  
opowiada.

Bowiem grając ich i twoje, czytelniku, twoje, widzu,  
serce człowiecze, »na tych strunach nanizanych«  
serce gra swoje, i swoją gra duszę.

Jak jego bohaterowie, wzrokiem wnikliwym tnie zasłonę przeznaczeń i dzieje dalsze, idące myślą przesięga:

»Ludów przedemną idzie rząd,  
ich żywot zwarty piśmem ksiąg,  
jak rzeka płynie mętem wód,  
myśl je przechodzi w bród,  
na wierzch dobywa szponem węd,  
co kryje tajń w topieli głąb:  
jasno widzę ich Sąd.

Rodów przedemną idzie ciąg,  
jako ten gajnych dębów krąg;  
padają, żre je grzyb i pleśń,  
a jużci nowy pnie się pęd,  
jak moja pieśń, —  
za nimi idzie moja pieśń«.

(Rapsod w *Skalce*).

A przystępując do śpiewu, wołać może Poeta wraz z Królem-Harfiarzem:

»Chcę dzisiaj modlić się do Ciebie  
na dobie tej jutrznianej,  
bym opowiedział słońcu siebie,  
jakom jest powołany.  
Żem powołany jest tu zostać  
przy harfie mej na straży,  
Twoję widzący złotą postać  
na szczytach u ołtarzy.  
Że jestem mocen twoją wolą  
i wolą Twoją silny;

że wszystkim trudom ręce zdoła,  
gdy głos Twój nieomylny«. (Akropolis).

I za głosem onym nieomylnym idąc, wie, jak owi stworzeni przezeń tytani »duszy wolnej«, że i jego

»żywot nie na jednym zakończy się bycie«,  
że »śmierć przemoże i trumien głaz zdruzgoce«,  
»i wyzwolony duchem z ciała i pamięci,  
jako orzeł poleci na skrzydłach niesiony«

bląkać się wieczyście

»we gwiazd zawierusze«,  
»w nieśmiertelności kościele«.

(Kraków-Poronin).







II.

**HYMNY JANA KASPROWICZA**  
(O SERCU CZŁOWIECZEM OPOWIEŚĆ HIOBOWA)





»W Ciemnosmreczyńskich skał zwaliska,  
Gdzie pawiookie drzemią stawy,  
Krzak dzikiej róży pons swój krwawy  
Na plamy szarych złomów ciska.

U stóp mu bujne rosną trawy,  
Bokiem się piętrzy turnia śliska,  
Kosodrzewiny wężowiska  
Poobszywały głaźne ławy...

Samotny, senny, zadumany,  
Skronie do zimnej tuli ściany,  
Jakby się lękał tchnienia burzy.

Cisza... O liście wiatr nie trąca,  
A tylko limba próchniejąca  
Spoczywa obok krzaku róży.

---

Słońce w niebieskim lśni kryształe,  
Światłością stały się granity,

Ciemnosmreczyński las spowity  
W blado-błękitne wiewne fale.

Szumna sikława mknie po skałę,  
Pas rozwijając srebrnolity,  
A przez mgły idą, przez błękity,  
Jakby wzdychania, jakby żale.

W skrytych załomach, w cichym schronie,  
Między graniami w słońcu płonie,  
Zatopion w szum, krzak dzikiej róży...

Do ścian się tuli jakby we śnie,  
A obok limbę toczą pleśnie,  
Limbę, zwaloną tchnieniem burzy.

---

Lęki! wzdychania! rozżalenia,  
Przenikające nieświadomy  
Bezmiar powietrza!... Hen! na złomy,  
Na blaski turnie, na ich cienia

Stado się kozic rozprzestrzenia;  
Nadziemskich lotów ptak łakomy  
Rozwija skrzydeł swych ogromy;  
Świstak gdzieś świszcze z pod kamienia.

A między zielska i wykroty,  
Jak lęk, jak żal, jak dech tęsknoty  
Wtulił się krzak tej dzikiej róży.



Przy nim ofiara, ach! zamieci,  
Czerwonem próchnem limba świeci,  
Na wznak rzucona świstem burzy...

---

O rozżalenia! o wzdychania!  
O tajemnicze dziwne lęki!...  
Ziół zapachniały świeże pęki  
Od niw liptowskich, od Krywania...

W dali echowe słyhać grania:  
Jakby nie z tego świata dźwięki  
Płyną po rosie, co hal mięki  
Aksamit w wilgną biel osłania.

W seledyn stroją się niebiosy,  
Wilgotna biel wieczornej rosy  
Błyszczą na kwiecie dzikiej róży.

A cichy powiew krople strąca  
Na limbę, co tam próchniejąca  
Leży, zwalona wiewem burzy«.

---

Niejeden pieśni kwiat wyrasta nad próchniejącą limbą  
duszy, zwaloną wichrowem, niszczącem tchnieniem życia.

Nad rozsypującym się, przez pleśnie niemocy i świdrujące  
robactwo grzechu i cierpień toczonem jej próchnem, prze-  
różne się krzewią rośliny.

Niekiedy — biały<sup>?</sup> p t a k n i e b i e s k i « albo wiatr dobry,

chłodzący, przyniesie małe ziarenko jabłeczne, i oto z próchna »gałąź kwitnąca« wyrasta, lejąca woń ukojną kwiatów na zbolełe serce, i ku końcowi lata, na jesień żywota, gotująca słodycz owocu, w pogodnym zaciszu sadów »mądrości« roszczonego...

Niekiedy — przychodzi cichy, słaniający się smutkiem skupionym człowiek, [pochyla się nad nią miłośnie, i ręce z żalu drżące zanurza w jej trzewia, i robactwo »grzechu« wyciąga — jedno po drugim — przed swe łzawiące bólem oczy, i próchniejące »popioły« zdziera, rozsypuje z wiatrem na okrąg świata, by tam — w głębi — utajoną pod niemi iskrę zniczową życia odnaleźć, rozdmuchać i w dusze »bezdolnych« zarzucić, by urosła w nich w »promień« słoneczny czynów bohaterских, wielkich, cichych, smutnych czynów, wpatrzonych nieustraszoną, świadomą żrenicą w lecące chmurą złowieszczą na zdziobanie ich siewu »kruki, wrony...«

Niekiedy zaś — na głaźnych złomach bryły, skąd wichrem życia strąconą była, jak krzyk straszny, rozdzierający, »jak żal, jak lęk, jak wiew tęsknoty« wytryska z miążdżonego serca, krwią zbryzgany dymiąca, kwiat »dzikiej róży«... »biczem lęku« gnany, oderwać się chciałby od skały i w wyż, w dal umknąć, precz od próchna limby... i pnie się, w krzew urasta ciernisty, tysiącami krwawych kwiatów urągający niebu, i głazom, skąd oderwać się nie może, i temu gnijącemu próchnu limby, nad którym targać się i szarpać musi, zawieszony między nieba błękitem a kałem grudy ziemnej, i trwać tak musi wieczyście, rdzeniem własnych korzeni przykuty...

I taką jest pieśń Jana Kasprowicza.

»Tak! Nie wiedziała ma dusza i nie wie,  
Co znaczy spokój. Cisza przenaświętsza,  
Drzemiąca w mroków świątynnych zalewie,  
Była jej obcą!... Precz od swego wnętrza  
Mknęła, jak z gniazda na bezlistnem drzewie  
Ucieka ptactwo, gdy się nad niem spiętrza  
Zwał chmur, nasycon strawą burz, a przed nią  
Biegł goniec z nowych szarpań gorzką przepowiednią«.  
(Zbiorek: *Ballada o słoneczniku*).

Bo

»W życia przeboju, ach! w życia rozterce  
Jakże bezdenną grób przepaścią zieję,  
Gdy gaśnie skra po iskiec;

Gdy znikające człek widzi nadzieje,  
Kiedy na dążeń promieniste znicze  
Noc swój ponury mrok leje...

Są wtedy duchy, co straszne gorycze  
Chłoną z spokojem, co z przedziwną ciszą  
Patrzą w rozpaczy oblicze...

Lecz są znów duchy, co gdy nic! usłyszą,  
Jęczą, jak dęby, gdy dzikie wichury  
Ich konarami kołyszą.

Rwą się w rozpaczy, jak jodły, gdy bury  
Grom w nie się wryje, gdy śmiercią szeleści  
Las naokoło ponury.

I nieraz w niebo krzyk bluźnierczej treści  
I krew rzucają z ropiejącej rany  
By znów zamilknąć — w boleści...«<sup>1</sup>

(Chrystus).

Zamilknąć po to tylko, by zerwać się po chwili z jeszcze straszniejszym, oszalałym krzykiem groźby, lęku, rozpacz i błagań...

Takim nadludzkim, krwawym krzykiem są hymny Kasprowicza.

Nadludzkim, bo niesłychanym dotąd nigdy w takiej grozie i potędze ekspresji.

Nadludzkim, bo nie człowieczym tylko, nie wszechludzkim, i nie ziemskim tylko, lecz krzykiem bólu świata całego, palących się przestworów, słońc i gwiazd, z jakichś wyroków okrutnych

»rozbijających się w swoich elipsach...«,

krzykiem rozpaczonym wszechbytu, i nawet, nawet przedskonnym jękiem Boga-Syna, krzyżowanego Syna tego Boga, który »złe stworzył«, a teraz zniszczyć je ni poskromić niema już mocy, i nadaremnie wysyła na śmierć krzyżową Syna swego — jak On Boga.

Nadludzkim, bo w sprężonem napięciu bólu chcącym

»wyciągnąć swe członki do ogromu krzyża«

Bożego, by złe nad światem ciężące ach! wreszcie odkupić.

Nadludzkim, bo wulkanicznym porywem oszalałej męką krwi tryskającym aż do stóp Boga,

»co na złocistym spoczawszy trójkacie,  
krzyż trójramienny mając u swych stóp  
proch gwiazd w klepsydrze przesypuje złotej«,

i urągliwą drwiną bluźnierczą:

»i płódź żywoty,  
aby tak klęły, jak ja;  
aby płakały, jak ja;  
aby w szarpiącej modlitwie,  
co jako dzwon ten łka,  
o zmiłowanie prosiły;  
aby się wlokły z gromnicami w dłoni  
ku tej nieznannej ustroni,  
do tej — ostatniej mogiły;  
aby tak wyschły, jak łza,  
którą już oko me płakać nie może;  
aby tak marły, jak ja —  
o Święty, Nieśmiertelny! Święty, Mocny Boże«!...,

tą urągliwą drwiną bluźnierczą chcącym zdrzemaną moc  
Boga obudzić, by nie dał Szatanowi wzrosnąć nad Siebie:

»Masz-li Ty grom —  
Masz-li Ty chmurę w ten południa skwar,  
aby z niej piorun padł  
i od szatana uwolnił ten świat?...  
Wal błyskawicą, wal!  
Niechaj się łamie,  
niech się rozkruszy ta zdrada,  
która nad życiem i nad śmiercią włada!...«  
(Święty Boże).

Nadludzkim, — bo gdy

»grom nie pada«,

i złe »trwa wiecznie«, i Zbawiciel — Syn Boga daremnie  
kona na krzyżu ze strasznym jękiem zwątpienia:

»Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił?«

a Lucyfer głosem okropnym woła

»niema Boga!« —

wówczas z nadludzkim — wszelką miarę przerastającym —  
upokorzeniem, w »nieukozonej żałobie« serca klęka przed  
złem, przed wyolbrzymiałym nad życie i śmierć Szatanem  
i czołga się ku niemu na klęczkach,

»i modli i płacze, i wzdycha i modli«,

by moc swą zabójczą powściągnąć raczył:

»Zlituj się, zlituj nad ziemią,  
gdzie ból i rozpacz drzemią,  
gdzie ból i rozpacz dzwonem się rozlega  
i w strasznej pieśni brzmi!«

W tej jego pieśni: w hymnach nadludzkich.

---

Są straszne chwile, kiedy na duszę, zmęczoną bez-  
owocną długą walką z otaczającą nędzą i niedolą człowie-  
czą, z nieprawością, wyzyskiem i zdradą, z przemocą i nie-  
wolą, nad ludem ciężącą i narodem, — przyjdzie zwątpienie,  
i bezwład, i niemoc...

Są straszne, obłądne chwile, — kiedy na duszę, zmożoną zwątpieniem w skuteczność wysiłków wszelkich w dziedzinie życia, spadną jak sępy krwiożercze pytania: czemu? czemu? gdzie zła początek? gdzie win źródło? — ach! i gdzie ich odkupienie?... i myśl znużona daremnie do wrót wieczystej tajemnicy kołacze, kołacze po to tylko, by ustawicznie odrzucana, zbita, skrwawiona, znowu ku nim powracać i znowu kołatać, daremnie... wieczyście...

Są straszne, obłądne, rozpaczne chwile, — kiedy na duszę, zmęczoną walką, stoczoną do dna zwątpieniem i niemocą, ostatecznie już, śmiertelnie znużoną, — spadają raz po raz okrutne, ślepe ciosy, w piarg druzgocące ostatnią jej ostoję: ciche marzenie o szczęściu miłości, i serce znękanne miążdżą, miążdżą, miążdżą powoli, długo, wyrafinowanie...

Ach, są straszne, wielkie grozą chwile, gdy dusza gasnąca

»w ten pozbawiony końca  
Pańskiego gniewu dzień«,

utraciwszy wszystko na ziemi, zbywa również ziemskich,  
krecich oczu, i wynieśmiertelniona

»tą wielką godziną konania«

staje na onej przełęczy niebios wieczystej, kędy graniczą  
Stwórca i natura, i myślą zjednoczona z wszechbytem prze-  
sięga go nawskroś — w bezmiary przestrzeni i w nieskoń-  
czoność wieków,

»tak dawnych,  
że o nich wieść  
zagasnąć miała czas«,

a sercem — przeczystem w tę wielką godzinę konania i miłością przepelnem — staje się jedno z sercem wszechświata, i drga i tętni żądzą rozkoszy i bólem, i grzechem, i winą, i rozpaczą

»wszystkiego co rośnie i pełza i kwitnie,  
wszystkiego co szumi i szeptce i dźwięczy,  
wszystkiego, co płonie i gaśnie«

»w Pańskiego gniewu nieskończony dzień«,  
»w którym konają wieki,  
i wraz się rodzą nowe  
na cięższą jeszcze niedolę«...

I jeśli w tę potworną, w tę wielką godzinę konania duszy,

»kiedy na wieki — na wieki  
gaśnie jej dzień«,

jeśli w tę okrutną, w tę »błogosławioną chwilę«  
zrodzi się »wieczorny hymn duszy«, wygrany na harfie, nastrojonej

»już na ostatni ton«, —

każdy dźwięk tego hymnu stać się musi dźwiękiem z rozdrzanego bólem serca wszechbytu bijącym, dźwiękiem naczelnym, wiodącym całą harmonję dysonansów bytu, i skupia w sobie wszystkie pokrewne mu dźwięki: rzesz ludzkich, zbiorowisk roślinnych, stad zwierzęcych, dzwonów, wód, wichrów i ogni, wulkanów, gwiazd, meteorów... Jak gdyby ziemia, ludzie i wszelkie istoty, i świat cały od krańca po kraniec budził się na dźwięk tego głosu, który jak



»dzwon się rozlega,  
z jękiem się czołga po spalonej łące,  
z płaczem się wznosi nad umarłe błonia,  
łkaniem wyschnięte chce poruszyć wody  
i zrozpaczony zamilka u brzegu  
i znów się zrywa i jęczy i płacze  
i łka i płynie i płynie i płynie  
w tej rozplakanej godzinie« ...,     *(Święty Boże).*

i chórem nieskończonym grał i łkał wraz z nim unisono...  
a z swych cmentarzy wstawały

»upiory wieków, naznaczone sromem  
winy i grzechu,  
i klną i bluźnią i płaczą,  
jęczą, i syczą, i dyszą  
nieustającą rozpaczą,  
od szaleńczego zamierają śmiechu  
w ten Pańskich gniewów nieskończony dzień« ...  
*(Dies Irae).*

...i wloką się wraz z niezliczonym tłumem żywych,

»wloką, popędzani mocą  
straszego lęku.  
A każda głowa ku ziemi się słania,  
każde kolano się chwieje,  
a krzyże posmutniałe drżą w wychudłych rękach,  
a w wietrze chorągwie trzepocą,  
a w martwym niemym słońcu gromnice się złocą,  
a Śmierć przed tłumem kroczy,  
wielkimi kroczy odstępami  
i z śmiechem na trupich ustach

wywija kosą stalową,  
połyskującą w południowym skwarze.  
A nad jej głową,  
jak wieniec z czarnych ziół,  
rozkwitłych podmuchem żałoby,  
gdzie drzemią stuleci groby,  
zgłodniałych kruków krążą stada  
chmurą ściemnioną  
i wysunawszy dzioby,  
żądliwie chłoną  
ten wiew, który idzie od ziemi —  
trujący, śmiertelny wiew...

A ci się włoką,  
światlistą mgieł sierpniowych odziani powłoką,  
jak cienie,  
do wielkiej się włoką mogiły...  
Za nimi dziewanny  
z piaszczystych wydm się ruszyły,  
z miedz się ruszyły krwawniki,  
z poza zapłoci bez się ruszył dziki,  
tatarak zaszumił w wądolcach  
i, z mułu otrząsnawszy pachnące korzenie,  
idzie wraz z niemi...  
Z mokradeł kępy rogoży,  
z przydroży  
osty o żółtych kolecach,  
szerokolistne łopiany,  
senne podbiały,  
fioletowe szaleje,

cierniste głogi  
wstały  
i idą...  
Liśćmi miękkimi,  
wierz zb zaszleścił rząd  
i w cichej, rozpaczliwej sunie się żałobie  
śladem ich drogi...  
Całe rżyskami zaścielone łany  
oderwały się w tej dobie  
od macierzystej ziemi  
i niby olbrzymie ściany  
wzniosły się w górę i płyną,  
tą wielką żalu godziną...« *(Święty Boże).*

...i płyną w niebios strop, do Wiczyzstego Tronu, i do  
stóp kłonią się Stwórcy w kornem, w potężnem wołaniu:

»Święty Boże! Święty Mocny!  
Święty a Nieśmiertelny!  
Zmiłuj się, zmiłuj nad nami!«  
»W tej gniewu Twego straszliwej godzinie  
Świat niech się kaja, lecz niechaj nie ginie!«

*(Moja pieśń wieczorna).*

I gdy zbolące serce to »krwawi w nieskończoność«  
i spala się w męce nadludzkiej, świat cały także się pali:

»Z olbrzymich snopów ognia,  
jakby młóconych niewidzialnym cepem,  
sypią się ziarna skier  
w okrąg na niebo i ziemię!

Księżyc się zajął  
i w mgnieniu oka wyrósłszy  
w ogromną kulę ognistą,  
zaczyna rwać się w kawały  
i płomiennymi wali się bryłami  
na cielska płonących gór,  
na popiół smreków spalonych.  
Płoną jeziora,  
sto wód się pali  
i tysiąc dróg!  
Z rozszalałego wnętrza ziemi  
ogniem buchają wulkany,  
gwiazd miliony tną błyskawicami  
spieniony potop płomieni  
i z hukiem  
giną w czeluściach czerwonych...«

*(Moja pieśń wieczorna).*

I w tej straszliwej połodze wszechbytu, na wołanie serca człowieczego, męką wzrosłego w bezmiary, świat cały się kaja, — kaja się i głosem nieukojonego żalu i skruchy spowiada się ze wszystkich grzechów i zbrodni, ze wszystkich win najstraszniejszych i zrad przeohydnych... bowiem to serce człowiecze wszystkie je w sobie zmieściło, acz w tej godzinie konania stało się czyste, jak w kwiecie dzikiej róży błyszcząca kropla rosy porannej.

Bo serce to jedno się stało z sercem wszechbytu, utożsa miło się z niem w śmiertelnym bólu,

»który sam jeden  
wszechmocny posiada głos,

który sam jeden rozpieśnia  
duszę słabego człowieka  
w natchnioną pieśń,  
zapładniającą światy...« (Święty Boże).

I każde drgnienie bólu, kędyś na najodleglejszym  
krańcu bytu, gdzieś u dawno zgasłej istoty człowieczej,

»tak dawno,  
że o niej wieść  
zagasnąć miała czas«, —

drga i jęczy w tem wszechbolesnem sercu człowieczem...  
bowiem jest jego bólem, jest jego winą, jest jego grzechem,  
trwającym w nieskończoność, i wciąż i wciąż się odradza-  
jącym...

I oto serce to, zawsze niewierne sobie samemu, serce  
to — wieczysty Judasz, za garść srebrników, za garść chwil  
rozkoszy i użycia sprzedający najczystsze przyjaciela, du-  
szę swoją, Miłość Zbawiającą, Chrystusa... i targujący się  
z życiem o większą garść tych srebrników za zdradę, po-  
pełnianą na sobie...

Serce to — Judasz, gnany wieczystym lękiem kary,  
wołający do Chrystusa, sumienia swego,

»czemu mnie ścigasz?

Gdzież jest Twa wielka, uwielbiana miłość?«

i więcej, stokroć więcej niż kary bojący się »aż do obłędu«  
tego niegasnącego, bolesnego wzroku duszy, tego »bez-  
brzeżnego Chrystusowego bólu«, tych powiek przymknię-  
tych,

»na które patrzeć się muszę  
na Weroniki chuście  
tyle, ach! tyle lat!«,

tych smutnych źrenic,

»gubiących się w głębi  
mojej i waszej niedoli...«

Serce to — Judasz, w lęku śmiertelnym

»od niepamiętnych już czasów  
nie mające chwili —  
może nie miało jej nigdy« —

jednej maleńkiej chwili zacisznej, gdzieby już dusza raz

»zapomniała o swej strasznej nędzy...«

Serce to —

»Iskarjota,  
źródło upodleń i cierpień«,

bojące się szelestu każdego, jak wyrzutu sumienia, i ka-  
żdego czystego stworzenia, każdego przyjaznego podania  
ręki, niby policzka wzdraliwego:

»A tam z tej głębi mgieł —  
Cóż to się snuje?  
Cóż to tak idzie na mnie?  
Boże dziecięta idą szlakiem śniegów!  
Bielutkie mają giezłeczka,  
w ręku lilije,  
a naokoło ich skroni

kręgi jasności,  
rozświetlającej ten ponury świat.  
Idą —  
śpiewają —  
cóż one śpiewać mogą?  
Cicho!  
Czemu wy na mnie idziecie?  
Wy, białe, niewinne duchy! —  
Jam go w ranną wiodła zorzę,  
by jaśniał, jak ona —  
Pochłoń mnie ciemna przepaści!  
Lub wy przepadnijcie,  
wy niewiniątka!  
Sza!  
Ktoś mię potrącił w ramię!  
To kamień w przepaść spadł!  
Sza! to ta gałąź oliwna,  
na której wisi mój stryczek!  
To liść jej się ruszył!  
Któżby się trwożył  
szelestu śmierci,  
która mu gryzie wynędzniałą duszę?  
Któżby się lękał kamienia,  
spadającego w czarną, głuchą przepaść!?»

Serce to, nieustannie, dnia każdego zdrady na sobie  
i duszy popełniające — wołać musi do świata całego:

»Wszyscyśmy zdrajcy!  
Człek człowiekowi jest równy —

ja zwę się Judasz, i tyś jest Judaszem,  
wszyscy my, bracie, Judasze...

I tyś jest zwierzem, i ja jestem zwierzem,  
wszyscy my, bracie, zwierzęta!

Kain maczugę wziął, by zabić Abła,  
a mem narzędziem morderczem  
ten przyjacielski całunek!

Jakaż różnica?

jedno i drugie zabija!

Jestem złodziejem i tchórzem,

aleć nie pierwszym,

i nie ostatnim,

i nie jedynym...«

I oto serce to — chuć miłosna, żądza rozkoszy,

»pramatka Grzechu, jasnowłosa Ewa,  
z godziną zdrady u swych białych stóp«...

*(Dies Irae).*

serce to — tęsknica miłosna, Salome,

»Salome, białolistny kwiat Herodyady,  
zerwany ręką grzechu z świadomości drzewa,  
w pożarze wieków łuny rzuca pieśń swą krwawą,  
swą nieskończoną pieśń  
i woła cię, proroku, przyjdź.

O przyjdź,

O boski przyjdź proroku!

Salome ciebie woła z płomieniami w oku«...



i śpiewa hymn wspaniały, nabrzmiały żądzą potworną,  
i »ogniem trawiącym« i rozpaczłą »zabójczą tę-  
sknicą«..., a gdy jej głos kochania nie odpowie, wzgardzona,  
w szale oślepiłym ciska ściętą głowę ukochanego na misę  
złotą, by bodaj martwe usta pieścić lubieżnie i zgasłe ca-  
łować źrenice —

»Jak twe źrenice, choć umarłe, płoną!« —

i patrzeć w nie, i w wizjach oddania się miłosnego śpiewać:

»O jakie blaski w twoich oczach drżą!  
W jakąż muzykę głos się twój przemienia!...«

i przytomniejąc, »w kamiennem ślepem przeraże-  
niu« chcieć do życia swą miłość umarłą zbudzić, i wołać,  
wołać znowu, rozpacznie, w pustkę śmiertelną:

»Ach! przyjdź!...  
Ach! przyjdź, kochanku, przyjdź!...«

I oto serce to, złamane miłości męką, upadające pod  
ciężarem samotności, serce, którego »nikt nie kochał«  
serce to — odczucie własnej winy, wołające ku sobie sa-  
memu z wyrzutem i żalem bolesnym:

»A ty czyjaś duszę  
tak umiłował, abyś mógł zapomnieć,  
że jest granica między złem a dobrem?  
W czyjeś ty serce spojrział z taką wiarą,  
aby jej siła mogła ci je rzucić  
do twoich stóp nieskalanych?

Nigdyś nie kochał!  
Łam się!  
Pomiędzy sobą a morzem miłości,  
huczącem pieśnią potężnych zapomnień  
i przepotężnych pożądań,  
i nieodkrytych Twórcy pełnych głębin  
i uświadomień potężnego szczęścia,  
sameś piekielną budował opokę.

I kłamstwo było i niemoc  
w twoich akordach, co wielbiły miłość!

Łam się!«

*(Salve Regina).*

I oto serce to, win swych świadome, zczerniałe od grzechu, żądzą spalone, — wielbić poczyna białość lilji i ku Przeczystej Dziewicy, jako ku świata Zbawicielce, grzech depczącej, dłonie wyciągać stęsknione...

Serce to, »ustawicznych gniazdo niepoko-  
jów«, nękanie

»Nędzą,  
która jest wszędzie —  
w miłości i w cierpieniu«,

wpatrzone w orszak żałobny, sunący roztopami z wo-  
zem, gdzie

»Górą na snopkach słomy,  
zamknięte w sosnowej skrzyni,  
śpi snem nieprzespanym  
życie biednego człowieka«...

serce to, znużone śmiertelnie, spokoju spragnione, klęka

»razem z żałobnym orszakiem...

i zdjąwszy z ramion swych krzyż —  
ach, ten przeciężki, wielki, czarny krzyż  
o smutną opiera go skrzynię,  
i modli się, i płacze, i wzdycha, i modli«,

i, chociaż wkoło rozlega się chichot szatański, dłonie mo-  
dlitewne wznosi ku górze

»i wraz z tęsknotą świata  
śpiewa hymn przenajświętszy:

Salve Regina!«

śpiewa ten ufny,

»przesłodka hymn,  
zasłyszany ongi — tak dawno, tak dawno,  
że o nim wieść  
zagasnąć miała czas«,

śpiewa, chociaż za nim w ślad wlecze się i »wlecze ból«...

I oto serce to — tęsknota za zmyciem kału żądź, tę-  
sknota za odkupieniem win i grzechów, tęsknota za czysto-  
ścią duszy przed wygnaniem z rajów niewinności dziecięcej...  
serce to — Marja Egipcjanka, wlokąca się przez wieki ku  
Zbawiającej Miłości, ze śpiewem tęsknoty na ustach:

»Idę-ć ja, biedna Maryja,  
idę-ć przez piaski pustyni  
hen! ku tej rzece nieznannej,  
gdzie Chrystus cuda swe czyni.

Tęskność mnie wielka niesie,  
a słońce skronie mi piecze —  
daleko-ć jeszcze do celu,  
wylękłe serce człowiecze!

Szukam wieczystej wody,  
żadnej krynicy nie minę:  
niema takiego źródła,  
gdziebym swą zmyła winę..

Tylko krwi Twojej świętej  
zbawi mnie pomazanie —  
każ sobie przekłuć ręce,  
umieraj, Chryste Panie!...

Umieraj, Chryste Panie,  
straszliwe znoś katusze!  
Bez Twoich wszak udręczeń  
ja, grzeszna, zginąć muszę« ...

...a w drodze długiej, w nieskończoność wciąż umykającej, wieczystej drodze ku czystości, zmuszona popadać w nowe grzechy, zmuszona oddawać się rybakom — by ją przez morze przewieźć chcieli »ku tej krainie dalekiej«, zmuszona oddawać się kapłanom, strzegącym dostępu do świątyni, gdzie Odkupiciel »cuda swe czyni«... i wołająca wówczas:

»A któż mi śmie powiedzieć,  
że grzech w mem sercu noszę?

Że świętszem jest wyrzeczenie  
nad święte me rozkosze?

Że te w źrenicach Bólu  
przymarłe skry są świętsze,  
niż jasny płomień żądry,  
co me rozpala wewnątrz?...

Biedna ja, grzeszna Maryja!  
Idę i idę przez wieki  
hen! ku tej rzece nieznanej,  
hen! ku tej ziemi dalekiej.

Idę przez piaski pustyni,  
przez wielkie płynę morza,  
ku Niemu gna mię tęsknica,  
a przy mnie litość boża.

Biedna ja, biedna Maryja...«

I oto serce to — zbratanie z wszelkiem stworzeniem,  
»ze wszystkim, co rośnie i pełza i kwitnie,  
ze wszystkim, co szumi i szepce i dźwięczy,  
ze wszystkim, co płonie i gaśnie«,

i z bracią cierpiącą, ubogą, tułaczą, bezdomną...

serce to — pragnienie wiekuistego Żywota, pojedna-  
nie z cierpieniem, jako zasługą, wyciąganie tęskne rąk ku  
»siostrze Śmierci«, otwierającej wrota Nieśmiertelności...

serce to — Święty Franciszek z Assyżu, idący w świat  
z wołaniem:

»O moi bracia i siostry,  
z jarzmem na plecach,  
z ciężarem konwi na głowie!  
Już ja w rzemiennem przepasaniu swoim  
nie mam-ci złota ni srebra,  
już ja rzuciłem laskę i trzewiki  
i spieszę ku Wam, ubogi,  
tylko bogaty tem Słowem,  
co mnie przy słońca zachodzie,  
przy dźwięku dzwonów i przy szepcie traw  
wyrwało z obieży zła.  
Już ja się nie gnę przed blichtrzem i próżnią,  
lecz idę ku wam, aby jarzmo wasze  
wziąć na swe barki  
i, konwie wasze dźwigając na głowie,  
nierozzerwalny zawrzeć ślub  
z wyzwalającą miłością!

O nućcie braciszku, i ty siostró pszczołko,  
albowiem rodzi się Miłość,  
i dźwięk płynie po ziemi, nigdy nie słyszany,  
gdy życie było li ciałem.  
O nućcie, me ptaszęta i ty siostró muszko,  
i ty, mój świerszczu polny,  
i ty, mój bracie wietrze,  
i ty, mój ogniu, wiekuisty ogniu,  
albowiem Miłość się rodzi

i pokolenia idą w imię Ducha  
do walki z przemocą i zdradą!  
A w bohaterstwo okuta ich pierś —  
we wielkiej idą procesyi,  
w śmiałym szeregu,  
a czystość wieńczy im skroń  
a hasło: zbawienie przez Miłość! —

Raduje się moje serce,  
raduje się wielką radością,  
żeś ręce mi przekłół i nogi,  
że krew mi z boku ciecze,  
że mogę patrzeć w krzyż,  
że mogę cierpieć cierpieniem,  
z którego rodzi się Miłość«...

Lecz nawet i w to serce, wszechmiłością tchnące i wyrzeczeniem, i w to serce — Świętego Franciszka z Assyżu, uciszone, pogodzone z cierpieniem i tęskliwe ramiona ku siostrze Śmierci wyciągające, i w to serce wkrada się zgrzyt straszny — jęk bólu:

oto dręczy je zmorą, widmo grzechu, pokusa rozkoszy — o Boże! z oczyma wybranki Twej, siostry Klary! — i kusi białością nagiego łona i bioder, i wonią upojną pysznego, pulsującego ciała...

Nawet i w tym przesłodkim hymnie, wielbiącym »cierpienie, z którego rodzi się miłość«, — zgrzyta dysonansem okropnym Ból... ból, wiekuisty serca gość, nieodstępny duszy towarzysz.

Ach, bowiem

»Jedno jest tylko w przestworzach widomem,  
jedno w zachodniej płomienieje zorzy  
nad płomiennymi falami  
wiekuistego Żywota  
i nigdy w ciemnię grobu się nie złoży  
i nigdy ciężkich stóp swych nie poruszy,  
by iść i iść i iść  
poza granice duszy —  
jedno jest tylko Jednem,  
grzmiącym miedzianą surmą archaniola  
ponad pokoleń pokoleniem biednym  
w Pańskiego gniewu nieskończony dzień:  
wielki, wszechmocny Ból«... *(Dies Irae).*

...ten ból trawiący, zabójczy, ten ból »pożądany«, ból »błogosławiony«

»który sam jeden rozpieśnił  
duszę słabego człowieka«

— Kasprowicza Jana —

»w natchnioną pieśń,  
zapładniającą światy«,

w te Hiobowe, w te Dantejskie, w te miarę ludzką przechodzące hymny.

(Zakopane).

---

---

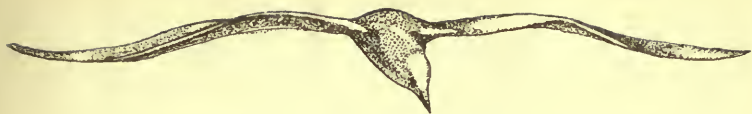


III.  
KWIAT —  
CHIMERA  
CZYLI  
MĄDROŚĆ  
I  
POGODA  
LEOPOLDA =  
===== STAFFA

(Studjum rewelacyjne)







»Na beznadziejny bólów ból skazany:  
Szukanie szczęścia — wędrowiec tułaczy« —

— człowiek, któremu nawet »w korony obręcz żelazne młoty« Niewidzialnego, nieubłaganego kata — Losu — wkuwają gwoździe, przeraźliwie długie gwoździe, by snać korona nie spadła na załomach drogi ciernistej, głazami gęsto usianej, w nieskończoność idącej, błędnej, obłądnej drogi... życia człowieka...

na beznadziejne szukanie skazany, więc się musi w męczarniach i jak pies bity skowytąć, i łkać i modlić się na klęczkach, i zrywać się w buncie rozpaczonym i kląć i złorzeczyć, i znowu padać i wić się, i konać w udręce i niemocy...

Bo życie jest przeraźnie obojętne, bezduszne i bezwzględne, zabójczo bezwzględne... bowiem jest »jeno życiem«, potęgą ślepą, straszną rozpędem Koła niewzruszonych praw swoich, którego ciosów miażdżących żaden nie ujdzie wędrowiec, — i biada mu! niemasz dla niego ratunku, jeśli nie znajdzie w sobie, w samotnej duszy swojej, mocy odpornej i niezniszczalnej, jeśli nie stworzy sam sobie, nie wyłoni z własnej głębi, potęgę ukojnej i ciszy pogodnej...

jeśli nie zdobędzie, nie wyrości różdżki oliwnej, za której dotknięciem

»w dolę niedola się zmienia«,

różdżki, wiecześnie mu odtąd kwitnącej nieprzebraną łaską czarów.

Tą »gałąź kwitnącą«, z pośród poetów doby naszej, niesie w dłoni z pieśnią na ustach — Leopold Staff.

Staff jedynie.

Trudem twardym ją wyrościł w ogrodzie bujnym swej duszy, trudem nieustannym

»co nie jest jarzmem, jeno dumą i nadzieją«,

trudem znojnym, którego

»uczył się od wsi cichych«.

»Zpracował sobie ciszę i pogodę«. (*Dzień duszy*).

Męką serdeczną i trudem, myśli wysiłkiem stężonym, szalem bolesnym tęsknicy i otchłannym smutkiem schodzącej w ciemności swe duszy.

Inaczej zresztą mądrości pogodnej zdobyć nie sposób.

»Jeno cierpieniem twardem w dojrzezań potrzebie  
Pracuje duch...« (*Ptacom niebieskim*).

Boć radość życia młodzieńcza, organiczna, nie jest pogodą. Jest tylko nieświadomością bólu istnienia. Pod ciosami straszliwego miecza jego nie ostoi się. Z krwią serdeczną spłynie, na stosie szczęścia wraz z ostatnim dymem jego rozwieje się bez śladu...

Daną jest, a dane wszystko odebrane być może.  
Pogoda zaś mądrości zdobytą być musi, w trudzie  
i bólu, w smutku i tęsknocie.

»Znam gorycz i zawody, wiem co ból i troska,  
Złuda miłości, zwątpień mrok, tęsknot rozbicia,  
A jednak śpiewać będę Wam Pochwałę Życia —  
Bo żyłem długo w górach i mieszkałem w lasach.

Szedłem przez pola żniwne i mogilne kopce,  
Żyłem i z rzeczy ludzkich nic nie jest mi obce.  
Przeto myśli me, które stoją przy mnie w radzie,  
Choć smutne, są pogodne, jako starce w sadzie.  
I uczę miłowania, radości w uśmiechu,  
W łzach widzieć słodycz smutną, dobroć chorą  
[w grzechu.

I pochwalam Tajń życia w pieśni i w milczeniu,  
Pogodny mądrym smutkiem i wprawny w cierpieniu«.  
*(Gałąź kwitnąca).*

I oto »gałąź kwitnąca«, czarodziejską, duch poety,  
»ptak niebieski« niesie, hojnie z niej płatki wonne, białe  
siejąc na ziemię zbolełą, na stęsknione ludzkie dusze.

Chwytajmy je! Chłońmy ich woń żywiącą!

Może i nasze umocni serca... lub bodaj wskaże, gdzie  
umocnienia i pogody szukać...

---

Na pozór niepodobna kusić się o ujęcie istoty tej mądrości, skoro sam poeta niejednokrotnie oświadcza, iż jest  
»niewierny wszystkim prawdom i sam z sobą sprzeczny«.  
*(Ptakom niebieskim).*

Ale to pozór tylko.

Bowiem już w oświadczeniu tem część jej się mieści.

»Wszystkie wiary kłamią«. *(Ptakom niebieskim).*

Jednego jakiegoś, stałego drogowskazu niema, i być nie może,

»bo w każdej rzeczy czuję tajne drogowskazy«. *(Dzień duszy).*

Skoro zaś w każdej czuję drogowskazy, więc do znużenia, do wyczerpania ostatecznego

»Słup słupowi odsyła mnie w drogi powrotne...  
I nigdy wyjść nie mogę poza drogowskazy«.

Gdym więc tak błąkać się bez końca zmuszony,  
a w drodze

»sen żaden nie jest wierny... a żaden ból zradny«. *(Ptakom niebieskim).*

— nonsensem, głupotą byłoby naiwną szarpać się i targać, szukając stałej drogi, tężąc ramiona na wcielenie snów, zawsze niewiernych, nie dających się nigdy wcielić.

»Wszelki trud na ziemi ginie«.

Głupotą naiwną jest dążyć kędyś, ku czemuś określönemu. Czyż nie lepsza? ach, nie lepsza, bo jedynie możliwa, więc jedynie mądra, odrzucić wszelkie cele, nie wyciągać dłoni daremnie za marą, sakwę duszy opróżnić ze wszelkich zdobyczy, ze wszelkich prawd i dążeń, i zostawić sobie jedynie

»wiecznie niesytą żądę  
Wędrownego tułactwa, szczęśliwej włóczęgi!  
Idę po to, by błądzić, więc już nie zabłądzą...  
(Dzień duszy).

I wówczas »drogi« zbyteczne:

»Nie trzeba dróg, bo zewsząd jawne widnokregi«.

Idę gdziekolwiek bądź, wszędzie, byle w dal, bo

»tam w dal nas zaprasza  
Beztroska, dar radosny włóczęgów i ptaków...«

Męka błąkania się bez wyjścia, ból utraty już wówczas  
nie grożą... A wieleż chwil szczęśliwych, wiele radosnych  
przygód w tej włóczędze wesołej może się nadarzyć.

»O szczęśliwy potrzykroć kto wszystko utraci!...  
My włóczęgi bezdomne nie mamy nic swego  
A jakżeśmy cudownie, bajecznie bogaci!

Gdy idąc w drogę biodra sakwami opaszę  
Pustemi, wiem: nie stracę nic! żadna mi szkoda!  
A Bóg wie, co mi w drodze może się nadarzyć!  
Bo cały świat to jedna, cudowna przygoda!«  
(Dzień duszy).

I oto z tą jedynie

»złotą żądzą,  
Co całując mnie w usta budzi w złoty ranek,  
Bym szukał, gubił wiecznie, nie znał, co przestaniek,  
Pytał wszystkich i pukał we wszystkie wrzeczadze.

Czego szukam? Co gubię, znajdując, gdy zbłądzę?  
Szczęsnych przygód? Piękniejszych codziennych niespodzianek?  
Zbieram siebie, hej! zewsząd, jak maliny w dzbanek,  
Szczęśliwy, gdy swą pełnię dnia piękną osądzę.

Zgarniam życie tak bujne, tak szczodre szalenie,  
Dające skarb najwyższy: Rozkosz i Cierpienie,  
Które zbiera miłośnicie dusza — pokłośnica«.

*(Gałąź kwitnąca).*

Tak, i cierpienie zbieram. Oh, nieraz.

I krzywd doświadczam, częstych krzywd od ludzi i rzeczy spotkanych. Boć kamienie i ciernie zostały na drodze. Tylko że teraz znieść to mogę z pogodą, z uśmiechem na ustach, z weselem nawet niekiedy.

»Do końca swej pogodzie musimy być wierni.  
Gdyby tu jeno radość była... Jak inaczej  
Mógłbyś zejść z drogi swojej nie klnąc wśród rozpacz,  
Gdybyś nie miał kamienia swego i swych cierni?«

*(Gałąź kwitnąca).*

Lecz skądże sił na zniesienie bólu, ran i krzywd?

A stąd, że po nich radość jest weselszą i chwila szczęśliwa słodsza, i spokój bardziej zaciszny.

»Bez męki pól i ramion skądby słodycz w chlebie?  
Najtkliwszą jest opieką wiośnie sroga zima...

Ból to radość, co jeszcze twarzy nie odkryła,  
Wesele, co dopiero staje się, dojrzewa...

Cierpkim sokiem jabłeczna słodycz niegdyś była...«

*(Ptakom niebieskim).*



I stąd jeszcze, że

»Nieszczęście nie zna celu, błądzi w mroczy.  
Gdzie słyszy imię swe, tam zwraca oczy...

Nie płaczcie... Duszę, co wpada w rozpaczę,  
Nieszczęściu smutki zdradzają i płacze...«

*(Ptakom niebieskim).*

Przyjmujcie je z uśmiechem, a wówczas nie doścignie was, i ból spotkany w drodze już jeno zbogacić może duszę-pokłośnicę, nie targać i miażdżyć.

Wówczas każda fala życia, zła czy dobra, kołyszająca do snu czy biczem smagająca, śpiewna czy parszająca śmiechem pian i śliną pluająca zjadliwą, każda »rozszerzać« jeno będzie »morze« waszej duszy.

Należy tylko stosunek swej duszy do bólu i krzywdy zmienić, zmienić radykalnie i świadomie:

»Na nowy, krzywdo, ład swój los przestroję!  
Odtąd pracować masz na dobro moje...

Mieczowi, który mi wieszasz nad głową,  
W rękojeść gałąź wprawilem wiśniową...

Kruż, któryś jadów nalała rozczynem,  
Ja napelniłem słodkich leków winem...

Choć gnębić przyjdiesz duszę mą bezbronną,  
Miał zła jej podasz lek i gałąź wonną...

Choć tyś niezmienna, szafarko mąk pilna,  
Lecz jam się zmienił i otoś bezsilna!«

*(Ptakom niebieskim).*

Odtąd kres targaniom się i złorzeczeniom, gniewom i nienawiści, kres rozpaczy i zniechęceni. Kres na zawsze.

Odtąd bowiem wszystko, spotkane w drodze tułaczey, jest dobre, jakiegokolwiek jest: zdrój ożywczy i cierń, spieka i ochłoda, ból i rozkosz, krzywda i usługa, cios z ręki wroga i lek kojący samarytanina...

Odtąd już

»Niema rzeczy złoczynej, ani dobroczynnej...

...Niema krzywd... Ach, niema więc i przebaczenia, Słodkiego kwiecia, które smutek w wieniec plecie!«

Jest jeno zrozumienie, że

»Niema winy! Nikogo niema, co jest winny!«

I dusza, obmyta w zrozumienia zdroju kryształnym, szepce do siebie:

»W dalekim byłam kraju, z dziwnych piłam zdrojów...  
Wybiegłam obłąkana w dał, żagwią pożogi  
Mścić się krzywd swoich, niosłam strzały i jad srogi,  
A wracam miłująca — z dziwnych piłam zdrojów...

— O zabili mi w lesie starą matkę siwą.  
I ktoś, kto widział zbrodnię, nie pomógł, nikczemny! —  
Biegłam mścić się... Znalazłam go: to ślepiec ciemny...  
Nie widział, że mi matkę zabijali siwą...

— Nie wsparł mnie sąsiad srogi, kiedym marła z głodu.  
Powróciłam doń... Siedział we łzach z czołem bladym...  
Język i dłonie tknięte ma wiecznym bezwładem...  
Nie wsparł mnie sąsiad srogi, kiedym marła z głodu...

— O zaprawdę, w dalekim, dziwnym byłam kraju,  
Gdzie każda rana różą się staje w rozkwicie,  
Kędy wyglądem szczęsnym jest każde rozbicie...

O w przedziwnie dalekim, tajnym byłam kraju«...

*(Ptakom niebieskim).*

Zrozumienie, mądrość i pogodny, smutny uśmiech  
wszystko zmieniają. Złe ginie. Miejsca już nań niema.

»Pocóż złu, które zbiera złorzeczenie,  
Przebiegać dzisiaj mą pogodną drogę,  
Gdy usta moje niosą pozdrowienie,  
A dłonie tylko błogostawić mogą?...

A każda myśl ma jest wonna i biała...

I dobrem będzie, co się dzisiaj stanie«...

*(Ptakom niebieskim).*

Musi być dobrem, co się odtąd stanie, bowiem

»Potem to wkoło ciebie będzie, co jest w tobie,  
Gdziekolwiek krok postawisz i o każdej dobie«.

*(Gałąź kwitnąca).*

Masz teraz moc przedziwną, na każde zawołanie: na każdym przystanku w drodze, wszelkiej chwili spoczynku, każdej godziny czuwania, w potrzebie nagłej boleści lub smutku — masz w sobie moc tworzenia czarów, potęgę snów twoich, którymi możesz najgłuchsze pustynie zaludnić, głązy martwe ożywić, łyżę w wino najśodsze przemienić.

Z chwilą gdyś poznał, że wszystkie rzeczy złudą są  
kłamną, z tą samą chwilą straciły one moc panowania nad  
tobą, moc czynienia ci krzywdy, zła i cierpienia.

I z tą samą chwilą zacząłeś dla siebie

»tkać cichą, dobrą wiarę,  
że niema żadnych złud«.

*(Płakom niebieskim).*

Niema złud. Wszystko brać możesz za takie, za jakie  
chce duch twój — czarodziej, duch twój — jedyny władca  
świata, jedyny miernik i twórca wartości rzeczy, jedyny pe-  
wnik, w którym wszystko istnieje, poza którym niemasz nic.

Od niego też wyłącznie zależy i ton uczuciowy, z ja-  
kim rzecz każdą, każde wydarzenie przyjmujesz. Wszyst-  
kiemu więc nadać możesz cechę pogody jasnej i wesela.

Tak, nawet wesela.

Bowiem dla ciebie odtąd »uwierzyć to stworzyć«.

Iść teraz możesz, pielgrzymie wesoly, »krokiem lekkim«,  
ze »śpiewem radosnym« na ustach, poprzez najgęstsze mroki  
i dżdże, bowiem uwierzyłeś, że

»Jest w dali miasto tajne, skryte w mgłę,  
W wieńcu ogrodów wiecznej, złotej wiosny...«

*(Dzień duszy).*

I żadna zwątpiała dusza ludzka, żadna

»smutna, zmęczona trudem dróg niewiasta«,

wlokąca się w żałobie stamtąd, kędy ty idziesz, nie zdoła  
cię przekonać, że

»niema tam żadnego miasta«.

»Bo jeśli niema miasta, ja je śnię«,

odpowiesz jej dumnie i pogodnie, boć dla ciebie śnić, to  
wierzyć w istnienie, bowiem

»Sny nie są prawdziwszemi, gdy jawą się staną«.

»Bowiem w to umiesz wierzyć, w co chcesz wierzyć«.

Bowiem dla ciebie »uwierzyć to stworzyć«.

I życie całe to sen jeno, »dnie, godziny snu«...

O, wiesz dobrze, że

»każdy sam siebie ciągle jeno śni,

Przeżywa swoją własną baśń o sobie«...

*(Dzień duszy).*

Oto, spojrzuj:

»Na szklance, z której piję rozmarzone wino,

Wkłęła sztuka szlifierska, w jasny kryształ czeski

Kilka drzew wrytych w przeźrocze zuchwałemi kreski

I jelenia, co kroczy ostrożnie gęstwina.

Marzyciel, złud zaklinacz, snom daję moc wcieleń,

Przysięgam, że to puszcza głucha, tajemnicza:

Wnet bezbarwny rysunek drzew rozkwita w zieleń

A czarom mym wierzący kłam prawdy użycza...«

*(Ptakom niebieskim).*

Tak samo z każdą rzeczą, w drodze pątniczej spo-  
tkaną. Z każdym wydarzeniem życia.

Pod jednym, naturalnie, koniecznym warunkiem:

»Wszystko to się stanie,

Gdy w wiary moc uwierzę«.

Uwierzyłem. Jakżebym mógł nie uwierzyć?  
I otom władca świata i życia. I oto

»Uczę, że piękną i dobrą jest siłą  
Życie... »Kłam!« — wołasz i w twarz mnieś uderzył?  
Przecie sam chciałyś, by to prawdą było...«

Dla mnieć to prawdą już. I uczę innych uczynienia  
tego prawdą. A gdy tak uczę,

»to tak jakbym rzeszy  
Pielgrzymów stopy mył ranne z udręki...«  
*(Ptakom niebieskim).*

»Brat mój się zgorszył ze mnie i spłoniony gniewem  
Rzucił kamieniem na mnie. I oto mną gardzą  
Wszyscy, a dawne druhy wobec mnie się hardzą,  
Zwąc mnie kłamcą, a słowo me obłudnym siewem.

Raz chory, co miał umrzeć, wzywał duszy mojej,  
By mógł chcieć, czego nie chce i czego się boi.  
I śpiewałem mu słodko, kołysząc, jak dziecię.  
I zaczął się uśmiechać do snów, jak do ludzi.  
Nieprawdą jest — powiadasz — co w nim radość budzi?  
Ale uśmiech i radość w nim jest prawdą przecie...  
*(Gałąź kwitnąca).*

---

Niewierny wszystkim prawdom, wyrzekłszy się szu-  
kania: prawdy stałej, »pielgrzym wesoly« ma jednak »pra-  
wdę« swoją, którą zdobył, którą stworzył sobie:

»Prawdą jest, co duszę cieszy«.

Oto prawda, zawsze wierna sobie, choć wszystkim  
prawdom sprzeczna, co dnia, co chwila inna, a zawsze ta  
sama, zawsze sobą zostająca, zawsze niezmiennie pewna,  
bezwzględnie absolutna. Jedyna, wszechobejmująca, ramiona  
władne, opiekuńcze nad życiem całym rozpościerająca.

»Prawdą jest, co duszę cieszy«.

---

I oto »ptak niebieski«, z sakwą duszy pustą, gonię  
za tem jeno, co duszę cieszy... znam tylko złotą, wiecznie  
niesytą żądze »szczęśliwej włóczęgi«,

»Co całując mnie w usta, budzi w złoty ranek,  
Bym szukał, gubił wiecznie, nie znał, co przestanek,  
Pytał wszystkich i pukał we wszystkie wrzeczadze,

Czcząc życie ufnem hasłem szaleńczej odwagi:  
Prawica niechaj nie wie, co czyni lewica«.

*(Gałąź kwitnąca).*

Żyję chwilą. A

»Kto mówił ci, że chwila jest mniej, niż sto lat?«

Gonię chwile rozkoszy i szczęścia.

Pochwyć: upoję się! Szalenie, obłądnie.

Minęła!? Zgubiłem?! Co?

Już nie pomnę...

»Czyż wiatr wspomina, jaką z róż zcałował woń?«

*(Gałąź kwitnąca).*

»Kto zapomina, Mądrość sobie przypomina«.

*(Ptakom niebieskim).*

Wszakżem wyszedł po to, bym gubił wiecznie.  
Lecę dalej — ptak niebieski — w inne pukać wrze-  
ciądze.

Nie gardzę niczem.

»Prawica niechaj nie wie, co czyni lewica!«

I radzę ci, bracie, czyń odtąd to samo.

»O bracie, dobrej rzeczy ziemskiej gardzicielu!  
Toć nie duma, lecz jeno zemsta w sercu twojem  
Na sadach, że tak mało ich w drodze do celu  
I źródłach, że tak rzadko stykasz się ze zdrojem.

Rozwiązuję ci dłonie. Idź i nie grzesz więcej  
Przeciw sobie i życiu...« *(Gałąź kwitnąca).*

Leć, goń chwile!

*Carpe diem!*

»Nie bój się przebudzenia. Nazbyt słodka chwila,  
Ażeby wszystko po niej nie było goryczą!«

Leć dalej, goń inne, najrozkoszniejsze.

Leć, jak ja leczę, ja —

»Włóczęga, król gościńców, pijak słońca wieczny,  
Zwycięzca słotnych wichrów, burz i niepogody,

Niewierny wszystkim prawdom i sam z sobą sprzeczny«.  
*(Ptakom niebieskim).*

Lecę, wciąż leczę, gdziebądź, byle dalej.

Hej! oto znowu chwila:



»Przypadek mnie zaprosił w swe knieje na łowy:

Na oślepek łuk napinam i nadzieję! Gonię  
Śmiechy wabne, wyciągam za najbliższym dłonie,  
Chwytam: z nagą dziewczyną słodki traf mnie zderzył.

I tuląc łup zdyszany, swą zdobycz bezwiedną,  
Śmieję się z roześmianą, jak strzelec, co w sedno  
Ugodził, czując szczęśny wstyd, że weń nie mierzył.

— »Czyś ty łaska, czy zguba, zbawienie czy zdrada,  
Nie wiem. Wiem jedno: rozkosz w ramiona mi pada«.

— »Bezbożna dusza moja, pogańsko wesoła,  
Nie wie komu dziękować, lecz »Bóg zapłać« woła«.  
*(Gałąź kwitnąca).*

Lecz i ta, tak słodka chwila trafu, minęła. Dalej lecę.  
Hej! hej, dziewczyno! na co, na kogo czekasz tam,  
w tym sadzie kwietnym, wpośród jabłoni? zbliż się! poco  
czekać?

»...Przecie tyś młoda, ja młody!«

Zbliż się! pójdz w moje spragnione objęcia! Rwijmy  
owoc rozkoszy!

»Rwijmy, by się nie śmiały z nas kiedyś jagody!«

— »Wypuść z swej izby białe gołębie,  
By je ujrzały moje jastrzębie:  
Wypoczynku i pieszczot pragną skrzydła znojne,  
Twe ptaki je zawiodą w zacisza spokojne...«  
*(Ptakom niebieskim).*

Lecz oto latawce me wyczęły »w słodkiej ciszy  
upieszczęń«.

Nie potrzebnaś mi więcej, dziewczyno!

»Długie szczęście je nurzy«.

— »Wnurzyły wyczęły szpon w ptaki twe śnieżne,  
Krwia ciepłą posiliły swe żądze drapieżne,  
I syte odleciały w bój, w gony bezbrzeżne!...«

Cóż pocnę, dziewczyno? długie szczęście mię nurzy...  
Zraniony gołąb twego serca targa się w męce i skrzy-  
dła białe łamie o pręty klatki, w którą mój odlot go wtrącił?  
Ach, cóż pocnę?

»Przebaczeń nie żądam swą duszą przedziwną«.

Pocoś stała przy szlaku, którym ptak niebieski w dal  
szybuje? Ptak, którego celem jedynym »rozszerzać morze«.  
Nic więcej, jeno to.

Ptak, który

»Chce bujnie żyć, by życie, głodne życia w walce  
Nie hańbiło się, gryząc w żądy własne palce,  
Lecz tak swą pełnią oczy olśniło sumienia:

By zachwycone, dobra i zła już niepomne,  
O wszystkie oskarżyło je winy ogromne,  
Lecz znalazło też wszystkie ich uniewinnienia«.

*(Gałąź kwitnąca).*

Dosyć!

Stój, latawcze!

Stój, łupu serdecznego żądny, jastrzębiu!

Przecz gołąb ów biały — jak ty ptak niebieski — jak ty żyć pragnie w radości i weselu?

A tyś szpon twój wypoczęty zatopił w nim i odleciał.

Pytałeś go, czy ma twoją zasadę: rwij, gdzie się da?

Pytałeś, czy także szuka, by gubić wiecznie?

A jeśli twój odlot męką dlań krwawą i konaniem wiekuistym, straszliwym w swej nieskończoności?

Ach, prawda, ty przebaczeń nie żądasz twą duszą przedziwną...

Prawda, tyś znalazł dla siebie wszystkie uniewinnienia, a życie oskarżył o wszystkie winy ogromne.

Łatwa mądrość!

Łatwa i wcale nie nowa.

Zbyt już znana: *Carpe diem!*

Chybaś nie tej »pogody« uczył się od wsi cichych?

Chybaś nie ją zdobywał cierpieniem twardem w dojrzewania potrzebie?

Boć ona tak łatwo przychodzi. Każdy filister i kabotyn, trudów żadnych nie łożąc, ma ją gotową — na zawołanie: Rwij, nim przyjdzie inny.

Wiem: »zbierasz siebie«.

Wiem: »rozszerzasz morze« twoje każdą nadbiegającą falą życia.

Wiem: napełniasz »pustą sakwę« twej duszy, zgłodniały »włóczęgo«, »pielgrzymie wesoły«.

Pieśń twa, ptaku, urasta od każdej złowionej chwili rozkoszy, od każdej pochwyconej zdobyczy, w którąś nawet nie mierzył.

Lecz to tak dobrze nam już znane. Słyszeliśmy nieraz, słyszeliśmy zdawna:

»Choć życie nasze splunięcia nie warte,  
*Evviva l'arte!*«

*L'arte del canto e l'arte della vita!*

Sztuka pieśni i sztuka życia, to jest użycia.

*Carpe diem: vita brevis.*

Żywot nasz krótki — goń chwile rozkoszy. Chwytaj, gdziebądź, jakiebądź, w jakikolwiek sposób: zdradą, podstępem, zabójstwem — fizycznym czy moralnym.

Ach, tak stara, filisterska, rozpasanie — burżuazyjna mądrość użycia.

»To nasz zysk, co ukradkiem, gdy ból nie na straży«.

Tak, boisz się jeno swego bólu. O innych ból nie dbasz.

I to twa »pogoda«. Pogoda!

Czekaj, uczyłeś, że »niema żadnych złud«. Że masz moc przedziwną — (wystarcza ci »u głowy zatknięty kij«) — zamieniania każdej złudy w rzeczywistość snu, w tę najprawdziwszą, najrealniejszą rzeczywistość snu, bowiem wedle ciebie

»sny nie są prawdziwszemi, gdy jawą się staną...«

Pocóż ci tedy realnie, życiowo, na jawie zaspakając chwilową żądzę miłosną — z bólem bliźniego związaną nieraz — skoro wystarcza ci sen o tej chwili, boć przecie

»sny nie są prawdziwszemi, gdy jawą się staną...?«

Pocóż ci chwycić chwile »trafu ślepego« rozkoszy — może »zdrady«, skoro wyśnić sobie [możesz (wystarcza

zatknać kij u wezglowia) najwyższe, niekończące się nigdy rozkosze, stokroć wyższe, stokroć rozkoszniejsze, niżli owa pochwycona, realna chwila trafu? skoro umiesz

»tkać dobrą, cichą wiarę,  
że niema żadnych złud«,

i skoro, sny nie są prawdziwszemi, gdy jawą się staną?  
Przecie

»Tylko duch słaby, by wierzyć w sny swoje,  
Musi je dłoni dotknięciem uderzyć...  
Ja niemożności nieziszczalne roję,  
Bowiem w to umiem wierzyć, w co chcę wierzyć!«  
*(Dzień duszy).*

Tylko duch słaby... lecz nie ty, który roisz niemożności i umiesz wierzyć w ich rzeczywistość!...

Czemuż miał wyśnić sobie miłość wiekuiętą, rozkosz najwyższą zupełnego spojenia się na wieki dwóch istot ludzkich w oddaniu miłosnem ciała i duszy, wolisz szukać realnych — na jawie chwil rozkoszy, kłamiąc sobie i nam, że sny nie są prawdziwszemi, gdy jawą się staną? kłamiąc sobie i nam, że umiesz w to wierzyć, w co chcesz wierzyć?...

Nie! nie umiesz tego, ptaku niebieski.

Nie masz onej mocy czarownej, którą się chwalisz.

Jeno złudę mocy za samą moc bierzesz: kłamiesz sobie, że ją masz, i starasz się siebie i nas przekonać, że wierzysz, jakbyś ją posiadał, bowiem dla ciebie »niema żadnych złud«.

Starasz się wierzyć w to, by przed bólem, który się wlecze za tobą, schronić gdziebądź i jakbądź twą duszę.

I wówczas wmawiasz w siebie, że to nie ból, jeno przyszła ukryta słodycz, i wierzysz w to. Dobrze ci z tem, i wierzysz w tę złudę.

Lecz, ilekroć nadarzy ci się chwilka realnej, na jawie, rozkoszy, przenosisz wówczas rzeczywistość nad sny, nad sen o rozkoszy, nad sen o szczęściu jedynem, wszechobejmującym...

Przenosisz, już nie jako mocarz snów, lecz jako zwykły »duch słaby«, z któregoś drwił tylokrotnie.

Słabyś duchem, pielgrzymie wesoły, i cała twa mądrość pogodna jest jeno mądrością niemocy, gdy idzie o ból, i pogodą użycia, gdy rozkosz się nadarza.

Twe »sny o potędze« rozwiały się w nic. Nie stały się jawą. Zadrwiły z ciebie w myśl własnej zasady twojej, że jawa nie jest prawdziwszą od snu o niej.

W nic się rozwiały młodzieńcze twe sny o potędze.

Pogoda twa, to jeno pogoda biernego użycia, nie zaś pogoda woli potężnej i czynnej.

I mądrość twoja, to tylko mądrość niemocy, nie zaś mądrość ducha władnego, ducha mocarza i czarodzieja.

Niestety, niestety, to jeno owa stara, osławiona »ἀταραξία« Pyrrhończyków, zwyrodniałych następców twórcy sceptycyzmu filozoficznego Pyrrhona z Elidy, uczących, że by nie mieć żadnych wątpliwości, należy jeno nie szukać żadnych pewników; by nie mieć żadnych targań i zawodów, należy nie mieć żadnych zasad, żadnych dążeń określonych; by nie mieć przeszkód w używaniu życia, należy usunąć precz z duszy wszelkie skrupuły etyczne i wszelkie marzenia... »żadnych drogowskazów«...

Niczem więcej twa »mądrość pogodna« nie jest, niestety.

Sam wiesz najlepiej.

Zbyt dobrze znasz mistrza twego Zaratustrę, z któregoś nie jeden tom przełożył i niejedno w pieśni twej poczerpnął. Znasz jego tytańskie zasady:

»Zwiesz się wolnym?...

Wolny — od czego? Lecz cóż to Zaratustrę obchodzić może?

Jasno niech mi twe oczy zwiastują, ku czemu wolny.

Czyś jest nową siłą i nowym prawem? Czyś jest nowym ruchem? z siebie toczącym się kołem?...

Zali zdołasz nadać sobie swe zło i dobro i zawieść wolę swą nad sobą, jako Zakon? Zali potrafisz sędzią być sobie i mścicielem własnego zakonu?

O wolo ma! Wszelkiej odwrotnico niedoli, ty mojej doli musie niechybny!...

Ty duszy mojej zrządzenie, które przeznaczeniem zowę!

Ty we mnie będące! Ty nademną!«

I znasz tak dobrze, przekładasz na polski mistrza twego Leonarda z Vinci i jego przedziwnej głębi i czystości maksymy, jak ta np.:

»*Non si può avere maggior signoria che quella di sè medesimo*« (Niemasz większego władztwa nad władanie sobą samym),

maksymy, z których płynie nakaz:

Będiesz tak żył, by przeznaczenie twoje — wizję świata twego urzeczywistnić.

I znasz zapewne — boś mędrce zgłębiał — owo Leibnitz'owskie:

»*Amare est delectare felicitate alterius*« (Kochać to rozkoszować się szczęściem ukochanego).

I znasz — nie możesz nie znać — zasady »etyki« i życie osobiste Barucha Spinozy, wedle którego prawdziwie wolną istotą jest ta, która żyje i działa na podstawie li tylko »wolnej konieczności«, to znaczy praw własnej natury, własnej duszy; wedle którego ciało człowieka i duch jego, więc życie i ideał nie są dwiema różnymi rzeczami, lecz jedną i tą samą, w dwóch jeno odmiennych sferach uświadamiającą się.

I znać winieneś owego najwznioślejszego z humanistów starożytności, owego kryształowo-czystego i nadludzko-władnego mędrca z Nikopolis, Epikteta, wzór pogody, przez nikogo już później niedościgniony, lecz pogody mocy, woli i czynu, że przypomnę ci jeno to najkrótsze:

»Ὅτι τὸ Ζῆν ἀδιάφορον, ἡ χρῆσις οὐκ ἀδιάφορος« (Tak więc fakt życia jest obojętny, lecz bynajmniej obojętnem nie jest jego użytkowanie).

---

Z niemocy i żądzy użycia płynie rzekoma pogoda twoja.

I »mądrość« twa nie jest mądrością, jeno niemocą.



Sam wiesz najlepiej. Boś umysłem rozleglejszy nad nią, i pieśnią dawnoś ją przerósł.

»Bo cóżem jest? Klepsydra: noc mnie znów odwróci;  
Namiot: dzień każdy zwija mnie i znów rozwija;  
Szereg ludzi: a jeden po drugim mnie mijają...

Ledwo wieczna rozłąka z jednym mnie zasmuci,  
Spojrzenie już twarz nową tem radośniej wita«.

(*Gałąź kwitnąca*).

A przecie to niemoc.

Bowiem niemocą jest duszy nie znaleźć w swej głębi żadnych własnych drogowskazów i pozwolić każdemu napotkanemu słupowi odsyłać się »w drogi powrotne«, w obłądne drogi kół błędnych.

Niemocą jest duszy nie być sobą, nie mieć siebie, owego jedynego w sobie człowieka, będącego jedynem możliwym u danej istoty wcieleniem jej prawdy wewnętrznej.

»Nie wiecie co to jest dusza, siła, która jest tem, czem chce, i nie jest tem, czem niechce... Jej nie macie. Nią nie jesteście. Bo mieć ją i nie być nią: to nielogiczne« —

pisał Wyspiański, Mocarz, którego zgon niedawny uczciłeś trenem żalobnym.

I że tak jest, wiesz dobrze.

Jakżeż inaczej twój *Mistrz Twardowski* mógłby być śpiewać taki hymn do duszy:

»Najwyższem bóstwem zostaniesz mi, duszo!

Dzięki ci niosę z wezbranego łona,  
Żeś mnie uznała współdziałania godnym  
W pracy, co naszych rąk czeka stęskniona.

Sługą twym będę wiernym, niezawodnym  
I najemnikiem, co nie zaprzepaszcza  
Ziarn, przeznaczonych na siew łanom płodnym.«  
*(Śpiew czwarty).*

I jakżebyś inaczej mógł być wołać, pieśń oną kończąc:

»Prawda twa szczytem jest twojej człowieczej  
Duszy. Jest twoją treścią i mądrością...

Prawda jest jedna, choć są prawd tysiące,  
A każdy swoją ma prawdę jedyną.  
Patrz pilnie okiem w głębie swe milczące  
Zwróconym, kędy tajne źródła płyną...

I czas nadejdzie, że patrząc cierpliwie  
Dojrzysz ją nagle, jak w północnym cieniu  
Dostrzegasz gwiazdę na niebiosów niwie,  
Chociaż jej wzrok twój dotąd w zaślepieniu  
Nie dostrzegł...«  
*(Śpiew piąty).*

A raz ją dostrzegłszy,

»niby dobrej, mądrej matce,  
trzeba się dać jej wieść...«

Wówczas nie będzie groźnem, że

»w każdej rzeczy czujesz tajne drogowskazy«.

bowiem masz już z czem sprawdzać ich wskazania: z pewnym drogowskazem jedynej prawdy twojej duszy.

Słup słupowi nie będzie cię już odsyłał w drogi powrotne. Nie grożą ci błakania »wahadłowe«, bez końca, bez wyjścia i kroku postępu, bowiem masz teraz w sobie swą prawdę, co »niby dobra, mądra matka« powiedzie cię w drogę twoją, we własną, wolną drogę twoją, poprzez błota i słoty, poprzez dżdże i mgły, przez puszcze leśnych ostępy, przez zapadliśka, wykroty i zrywne turnie życia...

Bowiem

»prawda twa jest jedna, choć jest prawd tysiące«.

Niewierny być możesz i będziesz wszystkim prawdom, lecz prawdzie twojej duszy zawsze zostaniesz wierny, bo niewiernym jej być nie możesz.

I to jest mądrość istotna: mądrość potęgi.

Bo mądrość potęgą być musi. Jest potęgą.

Zaś bynajmniej mądrością nie jest, gdyż jest niemocą, sprzeniewierzać się prawdzie swojej, lub nie mieć jej wcale. Niemocą jest, nie zaś mądrością nie być sobą: być wiecznie »z sobą sprzecznym«.

Niemocą jest i zatraceniem siebie pozwolić »lekko-myślności, płochej weselnicy przedrzeć sakwę, gdzieś mądrość chować«.

Niemocą i co najwyżej pyrrhońską »pogodą« jest zasada twa: goń chwile rozkoszy, gdziebądź i jakiebądź, chwytaj je »ukradkiem, gdy ból nie na straży«, tul namiętnie rzucone ci w objęcia przez traf ślepy — »nagie wśród lasu dziewczyny«...

Wiesz to, pielgrzymie wesoły, boć wiedzieć musisz,  
co to miłość, ty, któryś raz jeden tylko kochać pozwolił  
Mistrzowi Twardowskiemu (śpiewy II i III), raz jeden —  
śmiertelnie... ty, któryś w *Godiwie* umiłowanemu przez ciebie  
Grajkowi kazał oczy własnoręcznie wyłupić — po ujrzeniu  
cudu nagiego ciała ukochanej, by obraz jej na wieki w noc  
świata unieść w duszy wryty, i nigdy, przenigdy już na  
inne ciała kobiece nie spojrzeć.

Wiedzieć musisz, co miłość dusz wielkich i władnych,  
skoroś pisał:

»...Bo miłość darzy i wyzwala!

Ta-ć jest najwyższa miłość, co czarną niedolę  
W szczęście zmienia i w króla żebraka przetwarza!

Zbawia przygniecionego największym ciężarem.

Z najgłębszej bezdni duszę na szczyt szczęścia wznosi«. *(Ptakom niebieskim).*

I wiedzieć musisz, że taka miłość zazwyczaj raz tylko  
w życiu zakwita, bowiem kochający tą miłością

»Musim zaludnić sobą straszne głusze,  
A droga wiedzie tam przez dwie przepaście:  
Przez moją duszę i przez twoją duszę...«

*(Ptakom niebieskim).*

Nielatwo te dwie przepaście przebyć, i nieziemsko sprzyja-  
jących trzeba warunków, by dwa razy w życiu, z dwiema  
różnymi duszami tej samej istocie człowieczej dopiąć tego

udało się. Wielostronna, bogata nad podziw, a mocarna musiałyby to być dusza.

Jakże dziękować bogom należy, gdy raz jeden dadzą dostąpić szczęścia tak cudownego, jak dwojga dusz zespół miłosny, przyjazny. Trzeba życie się całe gotować ku temu.

»Rylcem złotym przez lata tęskniące i szare  
W kryształach ametystu wyrzeźbiłem czarę:  
Na dnie wykułem szczęścia klątewne napisy,  
A zewsząd pośród kwiecia twe wysnzione rysy...

I czekałem, że słodsze niżli miody pszczelne,  
Będę z niej pił wraz z tobą swe szczęście weselne...«

*(Galaż kwitnąca).*

I dusza, miłości wielkiej, wyzwalającej spragniona, czeka lata tęskniące na przyjście tej jedynej duszy, która szczęście niepojęte i nieogarnione miłości takiej dać może.

A gdy »lata tęskniące i szare« idą i idą, a Ona, upragniona, nie zjawia się, czekać mimo to będzie dusza, bez końca, do końca...

»A tęsknota wciąż jeszcze w dal twarz zwraca białą,  
I biedna czeka w smutku, który ją osnuwa,  
Jak gdyby szczęście kiedyś naprawdę przyjść miało.«

*(Ptakom niebieskim).*

Gdy zaś, Losu ślepego zrzędzeniem nieubłaganem, wysniona ominie cię przy spotkaniu, wcale cię nie dostrzegłszy; lub gdy — o Mojro okrutna! — ktoś inny wypił »dzban złoty z jej ręki«, ktoś inny schłonał tęsknoty Jej serca, wówczas — wiesz dobrze, pielgrzymie wesoly, co dusze potężne, pogodne a mądre uczynić jedynie mogą:

»...Oto dzisiaj idę z drogą czarą w ręce  
W najwyższe blade góry tonące w błękicie,  
Aby ją tam postawić na najwyższym szczycie,  
Bo wargę moja nigdy już pić z niej nie będzie.  
I tam ją pozostawię na zawsze. Krawędzie  
Kruży, co mego szczęścia wino promieniste  
Chować miała, niech wiecznie pozostaną czyste«.  
*(Gałąź kwitnąca).*

Niech wiecznie pozostanie czystą czara serca, nieziszczona o szczęściu marzenie! Niech na najwyższym stoi szczycie! Chwil użycia, trafu ślepego datków zbierać nie będzie!...

---

Usprawiedliwianiem swej niemocy, wykrętem mądrości, nie zaś mądrością jest to twoje chępliwe »pierzchanie« przed realizacją snu, jakoby niegodną wyższych duchów, i owa zachwalana przez ciebie potęga »bezczyntu«. I owo twierdzenie, że

»...Wszelki trud na ziemi ginie!  
Ach! bo nie kopie nigdy nikt na morzu studni!«  
*(Ptakom niebieskim).*

Bezasadne, apodyktyczne twierdzenie! na dowolnej, nielogicznie zbudowanej, niemądrej, acz suggestywnej analogji oparte — ze studnią na morzu!

Oczywista, kretyn chyba studnię na falach morza by kopał! Ale cóż stąd? czyż jakkolwiek, najbliższy trud ziemski do kopania na morzu da się przyrównać? Wolen jesteś, pielgrzymie, swoje prace życiowe do kopania na wodzie studni

równać, skoro tak ci się spodobało, ale stąd skok zbyt nagły do twierdzenia, że »wszelki trud na ziemi ginie«.

To jeno nastrój. Nastrój śmiertelnego znużenia, zwątpienia ostatecznego i niemocy.

Pięknie, suggestywnie oddany w tym przecudnym, jedynym z najulubieńszych moich, utworze: »Brzemię godzin«.

Aleć to tylko nastrój. Z mądrością nic niema wspólnego. Jako punkt jej wyjścia, jako usprawiedliwienie »bezczyntu« i »pierzchania« przed realizacją marzeń o życiu, jest fałszem świadomym i błędem niedopuszczalnym w filozofji.

Zaliś spróbował wszystkich trudów?

Zaliś jeden z nich bodaj czynił wytrwale, duszą całą i życiem, wolą, myślą skupioną, siłami wszystkimi?

Nie, oczywista. (Nie mówimy o pieśni, boś tej nie poniechał).

Niemoc jedynie: zniechęcenie, cios jakiś życiowy, który cię w serce ugodził i zmógł cię, źródłem i podkładem twych twierdzeń i twej »mądrości«.

Aleć taka »mądrość« z mądrością istotną wspólnego nic niema. Wiesz o tem dobrze.

Jest tylko usprawiedliwianiem niefortunnem niemocy »słabego ducha«, jest niedomyśleniem do końca, śmiało, otwarcie i szczerze, jest więc niemocą mądrości.

Wiesz o tem, boś roił ongi swe »sny o potędze«, boś kończył — niezbyt dawno! — w te słowa *Mistrza Twardowskiego*:

»Trzeba mi wolą ducha nad sobą zaciężyć,  
Bo los mój jest — być żywym i choćby w walk szumie  
Paść nawet tysiackrotnie, to wkońcu zwyciężyć!«

(*Śpiew piąty*).

I wiesz, że tchórzowstwem jest i zagładą snów skazywać je na wieczne wygnanie z życia, na wieczną lękliwą ucieczkę przed próbą realizacji.

Jeśli byś wyśnił coś istotnie wielkiego, jakiś sen o Bogu, musiałby sen ten nad życiem twym zaciężyć.

»Bowiem jedyne godne Wielkich Bogów imię  
To życie ich wyznawców i waga ich płonów!  
O życie moje! Bądź mi święte i olbrzymie!«

Takeś zakończył twój *Dzień duszy*. Zaś w *Mistrzu Twardowskim* śpiewałeś:

»Oto pogłębmy trudem tysiąckrotnym  
Tych pogardzonych ziemskich strug koryta,  
Których dna skryte brudnym mułem błotnym  
I zgniłem zielskiem cała toń poszyta...

Pilnie wygrzebmy wydmy, mielizn piaski  
Własnymi dłońmi. Oczyśćmy zatoki,  
Niech czysty kryształ słonecznymi blaski  
Tryska zwierciedląc czar toni głębokiej.  
Brud, co przejrzyste wody w mętów waśnie  
Kłócił, niech zniknie przed naszemi wzroki!  
A potem w głębi rozłoczone jaśnie  
Zaklnijmy wszystek cud ducha skarbnicy:  
Wszystkie sny złote, pieśni serca, baśnie  
Uczuć i wszystkie bogactwa w świetlicy  
Zapracowane marzeń...



Niech toń tajemna otchłani rozwiewnej  
Tą królewskością wody swe przepoi!

I w cudną wizję życie nam urośnie...«

*(Śpiew drugi).*

Nie »pierzchanie« ze snami przed możliwym urzeczywistnieniem ich w życiu, nie »bezczyń« tam sławisz.

Aleś sam wolał osłonić się togą niewiary i rzekomej pogardy dla »jawy«. Uląkłeś się trudu »życia świętego i olbrzymiego«. Wyznaj! Nie okłamuj nas i siebie »niemożnością nieziszczalną« twych marzeń.

»Bo najzuchwalsze nieziemskie wymysły  
Na swem dnie mają rdzeń istnienia żywy,  
Choć złudy kłamne nad niemi zawisły;  
Krew bije tętnem pod tęczą pokrywy  
I gdy wiatr zwieje te mgły i zatraci,  
Zostanie strumień bijący prawdziwy  
I rzekę życia swą strugą wzbogaci«.

*(Śpiew drugi).*

Lecz, by marzenia okazać mogły swój »rdzeń istnienia żywy« i »rzekę życia wzbogacić«, na to trzeba niezachwianie w nie wierzyć i w moc ich wcielenia.

Trzeba »w wiary moc uwierzyć«, pisałeś sam.

»Tysiąc tysięcy« strat i prób nieudanych przetrwać wolą pogodną... i wierzyć.

Trzeba »grzmotem młota w radosnej otusze«, na twardym stalowym kowadle życia wykować sobie

»Z całej bezkształtnej masy kruszców drogocennych,  
Które zaległy piersi mej głąb nieodgadłą, —

— Serce hartowne, mężne, serce dumne, silne«. *(Sny o potędze).*

Trzeba stać się, jako ów

»...drwał silny, ogromny,  
Pochmurną powinnością hartowny, niezłomny,  
Choć w cichych oczach lka mu mrok troski żałosnej«

i każdą »jabłoń« w sadzie duszy, co

»uschła w niemocy bezpłodnej«,

ścinać, by nie krzewiło się tam nic, »co nie rodzi«.

Trzeba na duszy swej i życia morze bezdenne

»Nieznuzonem spojrzeniem wiecznie patrzeć...

Całą męką nadludzko wytężonych oczu,  
Całym wysiłkiem woli stopionej w spojrzenie«,

*(Dzień duszy)*

aby »zdobywczą flotą« marzeń, przekuwanych w życia marzenne wykształty, nie »zatonęła marnie«, nie znikła w odmętach bez śladu, pianą żalu jeno znaczone.

I nadewszystko

»trzeba w wiary moc uwierzyć«.

Aleć chęlpisz przecie ustawicznie, że

»w to umiesz wierzyć, w co chcesz wierzyć«,

że »tkasz dobrą, cichą wiarę,  
żeś przebył zwątpień karę...  
tkasz dobrą, cichą wiarę  
z snów, jawy, mgieł i złud...«

I na tem »pogodę« twoją i »mądrość« oparłeś.

Na tem jedynie zasadzasz cały swój »dorobek pielgrzymki«, który niesiesz ludziom cierpiącym w darze.

Lecz oto — niestety! niestety — twa wiara pogodna dotyczy jeno ucieczki, za jakąbądź cenę, przed bólem i pogni za chwilą rozkoszy i użycia.

Niknie wnet i mgłą się rozwiewa, gdy o czyn idzie, o bój, o walkę wytrwałą, o zdobywanie swej prawdy, o wcielanie jej w życie... o realizację »snów o potędze«.

Bo nawet gdyś śnił jeszcze twe sny młodzieńcze o potędze, już w snach onych nosiłeś piętno i klątwę niemocy... jużes w snach onych wymędrkować chciał i wmówić w siebie, że

»Tylko słaby doświadcza czynem swego władztwa.

Zbyt wielką jest potęga ma i me bogactwa!

Dla ogromu mej mocy w czynie ujścia niema!«...

acz wiesz i wiedziałeś, że to kłam i pycha próżna. Wiedziałeś, skoroś w *Mistrzu Twardowskim* pisał później:

»Niegdyś Bóg wielki, potężny, mocarny,  
Zamknąwszy w sobie swą potęgę wieczną,

Uczuł w swej dumie zasępionej, czarnej

Siłę swą śpiącą i bezużyteczną...

I cień na jego myśli się położył...

Więc o swą siłę w duchu się zatrwożył,

I by jej użyć mógł, świat wielki stworzył.  
Godnego siebie zapragnął szermierza,  
Aby doświadczyć mógł i wypróbować  
Siebie, czy jako grom wolą uderza.  
Nie chciał już dłoni w bezczynności chować.«  
*(Śpiew drugi).*

Przecieżes chyba w pysze nie sądził, żeś potężniejszy  
nad tego Boga, którego nikt nie stwarzał, a który stworzył  
ze siebie wszystko?! przecieżes nie sądził, że twój »nad-  
miar« większy?!...

Już nad »berłem władnem« twych snów młodzieńczych  
o potędze ciężyla »kłątwa niemocy«.

Lecz mędrkowaniem nadać jej chciaeś pozory potęgi.  
Wmawiasz w siebie, iż jest potęgą, większą nad wszelkie  
potęgi czynne, bowiem jest potęgą »bezczynny«.

Ale prócz umysłów bezkrytycznych

»i tak słowom twoim nikt nie uwierzył«.

Sameś nie uwierzył.

Bo oto w rozpaczy biadasz żałośnie:

»Czekałem myśli życia, co przyjść do mnie miała  
Smutna wielkością swoją i wielka swym smutkiem.

Długo, niezłomnie stałem wytrwale na straży...  
Aż znużonego zmorzył dziś nocą sen wraży...  
Była... przez sen słyszałem... Szumiała skrzydłami...  
Oto po nocy dzikiej obłądnymi snami

Nikczemny, nędzny, budzę się z rozpaczy szalem,  
Że chwilę mego życia największą przespałem!»

*(Sny o potędze).*

Przespałeś?!... o biedny, biedny...

Rozumiem, bracie mój biedny, że nie masz dziś żadnego w sobie »drogowskazu«, i musisz być wiecznie »sam z sobą sprzeczny«... lecz jakżesz mówić śmiesz, że

»sny nie są prawdziwszemi, gdy jawą się staną«?

jakże twierdzić śmiesz, że

»wszelki trud na ziemi ginie«,

skoro jedyne go trudu, jaki warto było podjąć, rozpocząć nie mogłeś, skoro jedyne go snu, jaki warto było urzeczywistnić: »myśli życia« — nie zdołałeś uchwycić, nawet we śnie. Jeno słyszałeś, że była i szumiała nad tobą skrzydłami...

Przespałeś, bracie mój biedny, prawdę twoją jedyną — myśl twego życia, baśń ducha twego, sen najszczytniejszy...

Nie miałeś co urzeczywistniać! Realizacji snu spróbować nawet nie mogłeś.

Przeto »mądrości« twej, jeśli chcesz tak ją nazywać, nie miałeś na czym oprzeć, nie miałeś skąd wyprowadzić...

Boć z »przespania myśli życia« nic zbudować nie można.

Jeno z myśli życia, jeno z woli ku jej wcieleniu.

Lecz ty, nie znalazłszy jej w młodzieńczych latach, nie chciałeś dłużej czekać i czuwać nieznużenie, poddałeś się lenistwu duszy, i w dziwnym u siebie pośpiechu, u ciebie, coś błagał Pana wraz z Mistrzem Twardowskim, by

tobie czyn twój na jesień żywota odsunął, w dziwnym u ciebie, w sprawie tak jedynie ważnej, niewytrwaniu i pośpiechu wymędrkowałeś sobie twą »mądrość pogodną«, pyrrhońską mądrość bezczynu, bezkierunkowości i biernego używania chwil trafu ślepego.

»Wtedy ja, rycerz prawdy, com śluby zuchwałe  
Przysiągł, odjąłem skroni swej bolesną chwałę:  
Berło, miecz i koronę zerwałem swej dumie...  
Runął grom na mej wzgardy butne świętokradztwo  
I księgi me tajemne spalił i mą zbroję...  
Pogodny hymn śpiewało nowe serce moje  
A ból mój konał w kłęsce, co tknęła me władztwo...«  
(Inicjał w *Ptaku niebieskim*).

»Pogodny« śpiew zaczęło śpiewać serce twoje, ten śpiew, który odtąd w pieśni twej oddajesz, chociaż czułeś przecie, żeś odrzucając twe »władztwo«, wraz ze zbroją, mieczem i dumy księgą tajemną wyżenał precz człowieka... żeś zabił człowieka w sobie.

O, nie odrazuś zadowolnił się tą martwą, bierną »pogodą« twoją. Nie odrazuś na grobie duszy twej tańczyć począł taniec swawolny, wołając sercu swemu: *carpe diem!* Nie odrazu...

Jęczałeś strasznie, w bólu obłąkanym:

»Zbrodnią się stała moja dusza głucha...

Ten czarny las — to ciemna dusza moja...

Ten las to zbrodnia i grzechu ostoja —

Las się rozjuszył, zerwawszy obrozę!...

Człowiek w huczących drzew porwany morze,

Darty szponami konarów z pęt rwie się  
Próżno!... Martwołą zczerniało przestworze!...  
Zbrodnia się stała!... Wicher jęki niesie!...  
Biada! Człowieka mordują w mym lesie!«

*(Dzień duszy).*

A i później, i dziś nawet jeszcze, śpiewając pieśni  
»sobie i nocy«, biadasz — o, nieraz! — żałośnie:

»O duszo ma, z nas dwojga ktoś przeżył dziś siebie«.

A na wspomnienie onej przespanej myśli życia, dzwoni  
ci »stary żal« w dzwony żałobne i pokutne.

A ty,

»Zamiotłszy izbę twoją gałęzią sosnową,  
Tatarakiem zielonym posypałeś podłogę,  
Pokropiłeś ją wodą z krynicznego źródła«

i, złożywszy na białą okrytym tapczanie twą »duszę umarłą« —  
»człowieka«, któregoś sam zabił — płaczesz w głos i za-  
wodzisz:

»Uwiodłaś ty mnie, nocy, swą tajną głębiną,  
Żeś cichsza snów pieszczotą, niż morza otchłanie!  
Sen spętał moc... A morze tańczy w huraganie  
I śpiewa, że jest słodkie tym, którzy w niem giną...

Żyć już nie umiem! Ginać ni zwyciężać dzielnie!  
A miałem pierścień ślubów rzucić morzu w serce,  
Iść na boje zdobywcze, żeglować weselnie...  
Życie z szczęściem czekało... na jego wydziercę!

Zaprzepaściłem!... dawny kochanek królewski  
Morza... Bezczyń zgryzł łódź mą, co była snu łożem!

Szaleństwo w trumnę zbija mi jej zgniłe deski!  
Nocy! Czemu niweczysz mnie przed ślubem z morzem?!

O czemuś mnie uwiodła, snem spętała, nocy,  
Zanim w morze zdobywcze mogłem cisnąć łupy,  
Lub zginać w chwale? Tchórz dziś skonam w niem  
[z niemocy...

Lecz święte morza kocha wszystkie swoje trupy!«  
(*Ptakom niebieskim*).

O tak... kocha ciebie święte morze życia, chociaż  
mu się tchórzliwie sprzeniewierzył...

Kocha cię nad innych: pieśni dar cudny dało tobie —  
twórczy, wielki dar.

I piękną jest pieśń twa, ptaku niebieski!

Piękną pieśń twoja, pielgrzymie wesoły!

Tak piękną i suggestywną smutkiem swym i bólem,  
pod maską pogody skrywanym, że oto zastępy całe, zasłu-  
chane w czarowne, przesmutne jej dźwięki, zastępy ludzi  
zwątpiały lub wyrosły w tej dobie rozwianych w dym  
i jęk snów o potędze, — uwierzyli, że mądrość w pieśni  
twojej płynie i tchnie z niej moc<sup>1)</sup> i pogoda.

A tobie, ptaku, dzwoni żalobnie »stary żal« na wspo-  
mnienie »przespanej myśli życia« i »zaprzepaszczonej« mocy  
zdobywczej i władnej.

---

Nie tej pogody czekało serce me od ciebie.

Nie takiej szukała w tobie dusza moja mądrości.

---

<sup>1)</sup> Wilhelm Feldman, którego rozdział o Staffie nosi podtytuł:  
»Wola ku potędze«. (Patrz *Współczesna literatura polska*, wydanie  
piąte, r. 1908, str. 539 i poprzednie).



Nie takiej, ptaku!...

Daruj!

*Gałęzi kwitnącej*, na grobie twej duszy wyrosłej, przyjąć nie mogę.

Daruj! nie mogę z rąk twoich, broczących krwią »człowieka«, któregoś w sobie zabił, ach! nie mogę przyjąć »gałęzi kwitnącej«, acz rosną na niej nieraz kwiaty tak białe, jak »łaska przebaczenia«, i tak miękie, jak »słodycz cierpienia«, i tak ukojnie wonne, jak »krzywda darząca« lub jak »wierząca tęsknota«.

Zakopane.

---

## MIAST ZAKOŃCZENIA.

Tułacz, proch ziemi, w marzenne snów dale  
Wiecześnie tęskną wysyłam źrenicę...  
Nie kwilę łzawo, ni losów się żalę:  
Woli obręczą okułem tęsknicę.

Lecz czasem — zda się — na popiół się spale  
Żarem tajonym... Więc harfę pochwycę  
I rozpętana w szal tęsknot wicherzycę  
W pieśni natchnionej słów dźwięki skryształę —

Chwilę, jak orzeł, pod niebem zawisnę,  
Chwilę, jak gwiazda, w przestworach rozbłysnę,  
I wnet znów tęsknot rój rwący się ścisnę

Woli w żelazie kowaną obręczą:  
W harfie mej woli skroś życia niech dźwięczą  
Czynem, dzierzganym marzennych snów tęczą.

Kazań-Poronin.

---

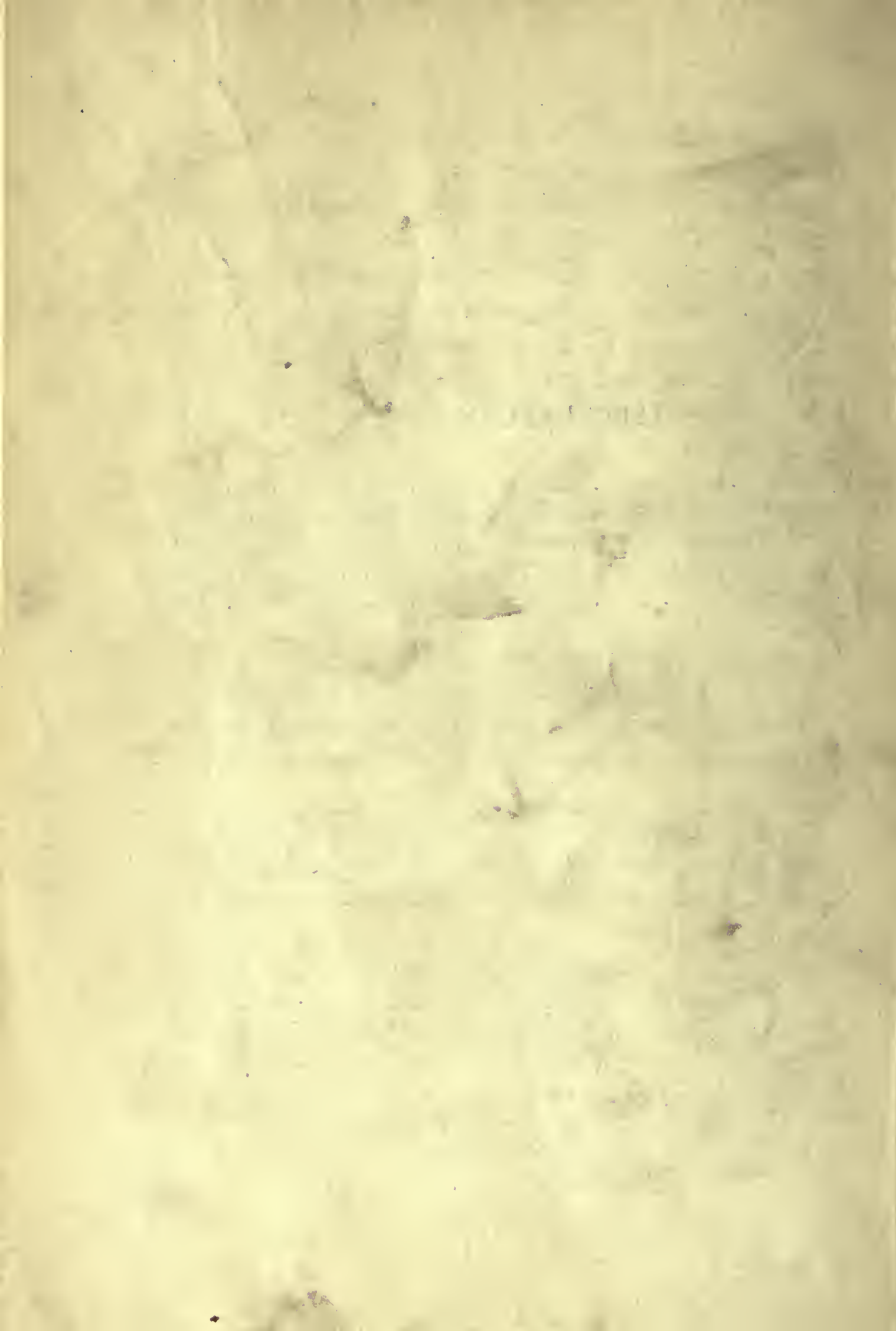
## SPIS RZECZY.

Słowo wstępne . . . . .	1
I. Tchnienie wieczności w poezji St. Wyspiańskiego . . . . .	5
II. Hymny J. Kasłowicza . . . . .	41
III. Mądrość i pogoda L. Staffa . . . . .	69
Miast zakończenia . . . . .	110

(Rysunki autora).

---

---













PG  
7012  
M55

Minkiewicz, Romuald Kazimierz  
U wiecznych wrót tęsknicy

PLEASE DO NOT REMOVE  
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

---

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

---

